AS

Nr. 25
19 CZERWCA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

WSZYSCY
NAD MORZE!



NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody!

Lada dzień rozpocznie się okres wakacyjny. Z dusznych miast wypłynie fala ludzi, którzy po znojnej, całorocznej pracy zechcą zaznać wypoczynku na łonie natury. Zaroją się uzdrowiska na Podkarpaciu i miejscowości kąpielowe na wybrzeżu. Gwarem przybyszów wypełni się niejeden dwór szlachecki, który na sezon letni zamienia się w pensjonat.

Urzędnik, dentysta, adwokat, lekarz — poprostu każdy, kogo tylko stać na to, by „wychylił nosa" poza szare bloki kamienic, wyruszy z jedną myślą, z jednem pragnieniem: Byle jak najdalej od trosk codziennych — byle jak najdłużej tam, gdzie panuje słońce, uśmiech i swoboda!

A gdy już to pragnienie stanie się rzeczywistością, niejeden z nas dopiero wtedy zacznie się zastanawiać: Jak spędzić wakacje? — Czy ruszyć w daleką podróż po nieznanych krajach — czy podążyć tam, gdzie poprzedniego lata przeżyło się niejedną piękną chwilę — czy poprostu posłuchać rady lekarza i wybrać jedno z zalecanych przez niego uzdrowisk?

Nad tym niełatwym problemem dominować będzie zawsze chęć zaznania jak największych przyjemności, na które tak cieszyliśmy się przez długie miesiące zimowe, a które da nam niewątpliwie obcowanie z przyrodą. Dlatego to wszystkie sporty, które zbliżają nas do przyrody, powinny znaleźć jak najwięcej miejsca w naszym wakacyjnym repertuarze. Kogo stać na samochód, zazna niebylejakich rozkoszy, odbywając nim dalekie rajdy. Ale i skromny kajak, czy łódź żaglowa, motocykl lub wkońcu rower umożliwią nam wycieczki, z których wspomnienia pozostają na lata całe.

Życie nasze podczas wakacyj, napewno daleko barwniejsze od tego, które leniwie biegnie w miesiącach pracy i trosk codziennych, dostarczyć też może wielu takich sytuacyj, które naprawdę będą godne, by je „uwiecznić" na kliszy fotograficznej lub taśmie filmowej. Niejeden zresztą z nas kultywuje fotografję amatorską od lat i może się poszczycić wysoce artystycznemi zdjęciami. Nic więc prostszego, jak w ciągu wakacyj postarać się o uchwycenie na kliszy naprawdę frapujących momentów.

Magazyn „As" pragnąc stworzyć swym Czytelnikom nową, pożyteczną rozrywkę, rozpisuje niniejszem „Konkurs na najoryginalniejsze zdjęcie z wakacyj".

Warunki Konkursu są następujące: 1) Fotografja winna być dokumentem mile spędzonych chwil podczas wywczasów letnich. 2) Techniczna strona zdjęcia musi być bez zarzutu, a ujęcie artystyczne. 3) Prawo uczestniczenia w Konkursie nabędzie każdy, kto wykaże się prenumeratą Magazynu „As" najmniej za okres jednego kwartału, licząc od dnia 25 czerwca b. r. Podajemy datę 25 czerwca dlatego, ponieważ jest to dzień, w którym ukaże się następny, z kolei 26 numer „Asa", a więc ten, który zapoczątkuje prenumeratę naszego Magazynu przez uczestników Konkursu wakacyjnego.



Nadsyłanie zdjęć trwa do dnia 15 września b. r. po którym to terminie nastąpi ogłoszenie na łamach „Asa" wyników Konkursu. Wszystkie zdjęcia, które Redakcja zakwalifikuje do publikacji, zostaną zamieszczone w Magazynie „As" bezpłatnie.

Pięć najbardziej frapujących zdjęć otrzyma cenne nagrody, których spis podany będzie w jednym z następnych numerów „Asa".

Redakcja Magazynu „As"

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 25 **Niedziela, 19 czerwca 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 25-GO:



Fot. „As"

Do jednej z najciekawszych imprez w programie „Dni Krakowa" należał bezwątpienia „Wieczór Serenad", urządzony z końcem ub. tygodnia na przepięknym dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej. Utwory Mozarta, Brahmsa, Karłowicza i Wagnera w wykonaniu krak. orkiestry symfonicznej, oraz dawne pieśni rycerskie, studenckie i madrygały, odśpiewane przez krak. chór kameralny, doskonale harmonizowały z nastrojowem otoczeniem.

PŁYWAJĄCE FORTECE

Uważny czytelnik spotyka się dzisiaj często z wiadomościami, które mówią o pośpiesznem zbrojeniu się całego świata. Pokaźne w tych zbrojeniach miejsce zajmuje marynarka wojenna. Czytamy więc, że Niemcy zbroją się na morzu w tempie bodaj że jeszcze szybszem, niż na lądzie. Czytamy o jednogłośnem uchwalaniu przez parlamenty kredytów na budowę nowych okrętów linjowych lub krążowników. Stany Zjednoczone Ameryki wybudowały ostatnio 2 wielkie lotniskowce. To znów niedawno doszła nas wieść, krzepiąca otuchą serce każdego prawego Polaka, że bezpieczeństwo naszej łączności ze światem poprzez Gdynię i Gdańsk uzyskało trwalsze podstawy, bowiem polska flota wojenna powiększyła się o 2 nowe duże kontrtorpedowce, zaś w czasie najbliższym otrzyma jeszcze 2 łodzie podwodne.

Czytelnikowi, nieotrzaskanemu z temi nazwami, nasuwa się siłą rzeczy pytanie, co to są za okręty, te „lotniskowce", „łodzie podwodne", „krążowniki" itd.?... Czem się różnią jeden od drugiego i jakie są ich zadania?

Jakkolwiek okręty wojenne, wiosłowe i żaglowe, istniały już w czasach starożytnych i średniowiecznych, to jednak miały zadania zupełnie różne od tych, jakie stoją przed dzisiejszą flotą wojenną. Służyły bowiem do przewożenia wojsk i wysadzania ich na ląd nieprzyjacielski, a więc do celu, który dzisiaj nazwalibyśmy „desantem". Kiedy takie okręty spotkały się dawniej na morzu z okrętami nieprzyjacielskiemi, to przedewszystkiem dążyły do zwarcia w celu stoczenia walki wręcz, na modłę lądową.

Zasadniczy przewrót w czynnościach okrętów wojennych nastąpił dopiero po wynalezieniu dział, dzięki którym stało się możliwe nawiązanie walki na odległość. Wówczas to dla obrony statków kupieckich, których bogate transporty srebra, złota i niemniej wtedy cenionych przypraw korzennych z krajów zamorskich przedstawiały nie lada pokusę dla zbójów morskich czyli korsarzy — powstał okręt linjowy, zaopatrzony w bardzo silną artylerję. Łakomy łup stał się odtąd mniej dostępny, gdyż aby nim zawładnąć, trzeba było wpierw zwalczyć towarzyszący mu linjowiec. To też te państwa, które działalność korsarzy popierały, również posłały na morza okręty linjowe z rozkazem niszczenia, w otwartym już teraz boju artyleryjskim, linjowe przeciwnika.

Skąd wzięła się ta nazwa: „okręt linjowy"?... Oto okręty, których uzbrojeniem głównem ich artylerja, płyną podczas boju bokiem do nieprzyjaciela, jeden za drugim, śladem swojego przeciwnika. Jest to t. zw. „szyk torowy", który kreśli na powierzchni morza jedną bruzdę, jedną linję. Stąd więc nazwa tych okrętów, słusznie zachowana do dzisiaj, dawny bowiem żaglowiec linjowiec — to nic innego, jak „pradziadek" dzisiejszego, silnie już opancerzonego okrętu linjowego („drednota"), z którym jedne miał zadania.

Okrętem lżejszym i zwrotniejszym od linjowego, ale również wyposażonym w silną artylerję, była fregata, która pierwotnie służyła do pościgu za statkami kupieckimi, później zaś stała się jednostką, uzupełniającą działanie ciężkiego i mało zwrotnego okrętu linjowego. Dzisiaj obowiązki fregaty odziedziczył jej „wnuk", krążownik.

Z czasem, w miarę doskonalenia się sposobów walki na morzu, powstała konieczność nawiązywania i utrzymania łączności pomiędzy poszczególnymi okrętami, które to zadanie wzięła na siebie lekka i szybka korweta.

Stopniowo marynarka wojenna zaczęła odgrywać coraz poważniejszą rolę w dziejach. Metod walki na morzu zaczęła uczyć nowa, specjalna gałąź wiedzy, taktyka bitwy morskiej. Floty wojenne staczają bitwy, które decydują o mapie politycznej świata. Pogrom floty francuskiej pod Trafalgarem uczynił Napoleona więźniem w Europie. — Wprawdzie cela więzienna była duża, ale daremnie wielki cesarz miotał się z jednego jej krańca na drugi, od Madrytu po Moskwę, od Jeny po Iławę. Rozporządzając bitną armją, która weń bez zastrzeżeń wierzyła, oraz genjuszem urodzonego wodza, mógł do czasu przemeblowywać jak chciał tę swoją europejską klatkę, mógł burzyć trony i fundować nowe państwa. Ale panowanie na morzach zachowała Anglja i to napoleońskie „wielkie pranie" musiało mieć swój koniec.



Na prawo: Parada floty amerykańskiej w porcie nowojorskim.



Okręt linjowy (Dreadnaught).



Krążownik linjowy.



Krążownik.



Kontrtorpedowiec.



Na lewo: Moment wynurzenia się włoskich łodzi podwodnych podczas manewrów.

Poniżej: Lotnicze zdjęcie floty amerykańskiej podczas manewrów na Pacyfiku.

taki właśnie, do jakiego zmierzała „władczyni mórz" — Anglja.

Olbrzymią przemianę przechodzą okręty wojenne po wynalazieniu maszyny parowej i zastosowaniu jej na żelaznych już kadłubach okrętowych. Jednak dopiero wojna rosyjsko-japońska, która przyniosła szereg zasadniczych doświadczeń, doprowadziła do ścisłego określenia zadań, zarysowujących się przed marynarką wojenną. Stosownie do tych zadań właściwe okręty wojenne dzielimy dzisiaj na 7 klas. (Okręty pomocnicze i specjalne, które również należą do marynarki wojennej, ale bezpośredniego udziału w boju morskim nie biorą, omówimy innym razem).

Podobnie jak za czasów okrętów drewnianych, również i dzisiaj fundamentem floty pozostaje okręt linjowy („drednot"). Oczywiście przybrał on postać zupełnie inną od tej, jaką miał za czasów Nelsona, zwycięzcy Francuzów zpod Trafalgaru. Jest to okręt o ogromnej zazwyczaj wyporności, dochodzącej do 35 tysięcy ton. (Tyle więc wynosi jego ciężar — 35 tysięcy ton, czyli 35 miljonów kilogramów). Przeznaczony do walki artyleryjskiej w linji, a więc do właściwego boju na morzu, ma jako główne swoje uzbrojenie artylerję najcięższą i średnią. Uzbrojeniem pomocniczem, obronnem, są działa przeciwlotnicze oraz kilka wyrzutni torpedowych. Dla zabezpieczenia przed pociskami artyleryjskimi, bombami lotniczemi i — częściowo — przed torpedami posiada potężne opancerzenie, które odlewa się w gotowej formie ze specjalnie twardej stali.

Drugą z kolei klasę okrętów stanowią krążowniki linjowe, zwane także bojowymi, ponieważ ich zadaniem jest również bój artyleryjski w linji. Są to okręty o bardzo dużej wyporności, nagół niewiele ustępującej okrętom linjowym, ale dzięki lżejszemu opancerzeniu są od nich znacznie szybsze. Artylerję mają w tym samym największym kalibrze, co okręty linjowe, ale mniejszą liczbę dział. Najczęściej walczą w straży przedniej. Tak było właśnie w pamiętnej bitwie Jutlandzkiej, stoczonej na burzliwych wodach Skagerraku w dniu 31 maja 1916 roku. Pierwsza część tej bitwy, mianowicie słynny bój eskadr krążowników linjowych przeszedł na zawsze do historji bitew morskich.

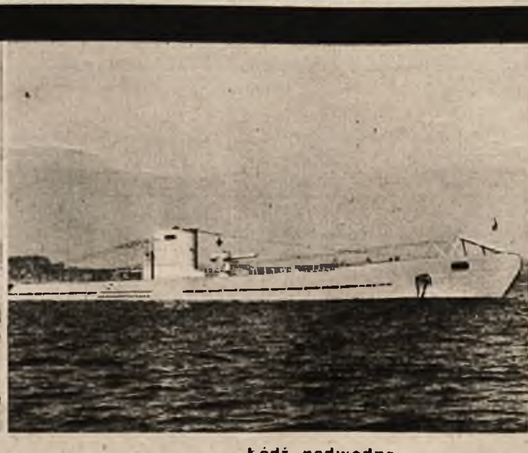
Inne zupełnie zadania, niż na okręty linjowe i krążowniki bojowe nakłada dzisiejsza taktyka na krążowniki. Stanowią one trzecią zkolei klasę okrętów wojennych, a ich zadaniem jest działanie w dalekim zasięgu pływania. W klasie tej należy rozróżnić 2 typy: krążownik t. zw. „waszyngtoński", który wypiera 8 do 10 tysięcy tonn i krążownik lekki o wyporności 3 do 8 tysięcy tonn. Kosztem opancerzenia, które mają niewielkie, bądź nawet jak np. krążowniki lekkie, wcale go nie mają, oraz kosztem kalibru artylerji uzyskano dla nich dużą szybkość, która niejednokrotnie przekracza 40 mil

(Dokończenie na st. 23).





Torpedowiec.



Łódź podwodna.



Lotniskowiec.

U GORĄCYCH ŹRÓDEŁ SUDETÓW



Powyżej: „Pozdrowienie z Franzensbadu", charakterystyczna pocztówka przedwojenna.



Na prawo: Nieistniejąca już hala, w której znajdowało się źródło Sprudla w Karlsbadzie.

— Ein Volk, ein Führer, ein Kurgast! — oto hasło, jakie w ostatnich czasach zapanowało nad sudeckiemi uzdrojowiskami, cieszącemi się do niedawna frekwencją z całego świata. W dobrych czasach, kiedy do Karlsbadu przyjeżdżali goście zarówno z Egiptu, Hiszpanji, Norwegji, Rosji, jak też z Chin, mówiono, że cała ludzkość dzieli się właściwie na dwie wielkie połowy: na tych, którzy już byli w Karlsbadzie i na tych, którzy tam dopiero będą!

Ale to wszystko się bardzo zmieniło. Spokojne, przedwojenne czasy, kiedy każdy miał określony budżet, choćby najskromniejszy i w danym razie mógł poświęcić na kurację pewną kwotę, zdaje się że już nie wrócą. Chociaż i wtedy siedziało się jak na wulkanie, a odgłos armat coraz silniej począł dolatywać od strony Bałkanów, to jednak zdawało się, że są to niejako „feux d'artifice" i nic poważnego z tego nie wyniknie. Wtedy to kąpieliska czeskie, jak Karlsbad, Marienbad, St. Joachimstal, Franzensbad i inne były naprawdę ciekawemi miejscami, gdzie nie tylko można było odzyskać stracone zdrowie, ale również zobaczyć wielu ciekawych ludzi i czuć się pełnowartościowym Europejczykiem.

Pulsowało w tych zdrojowiskach pełne, barwne życie, płynęły tysiące nie tylko koron, ale też funtów szterlingów, dolarów, no i przedewszystkiem rubli. Istotnie postać zwana popularnie „ein russicher Fürst" cieszyła się niezwykłą pieczą i poważaniem wśród autochtonów. Dorównywali jej jedynie dolarowicze z Nowego Jorku, czy Chicago, również bardzo szczodrzy, natomiast Anglicy mimo równie wielkich majątków bynajmniej nie spotykali się z sympatją, gdyż wszędzie żądając najwięcej, dawali najmniej.

Nie bylejaki odsetek gości tych różnych badów stanowili oczywiście Polacy. Zresztą najrozmaitszego autoramentu: już od wieków zaglądali do Karlsbadu najwybitniejsze nieraz osobistości, począwszy od króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, którego nadmierna tusza, uwidoczniona choćby na słynnym portrecie Matejki, zmuszała do szukania pomocy ówczesnych eskulapów. Ale również i Mickiewicz, Słowacki, Orzeszkowa i wiele innych wybitnych postaci gościło w Karlovych Varach. Warto wspomnieć, że Mickiewicz posiada w Karlsbadzie nie tylko tablice na domu przy Alte Wiese, w którym mieszkał, ale też swój pomnik wśród parku miejskiego. W tymże czasie bawiła w Karlsbadzie przyjaciółka Goethego, wielkiego olimpijczyka z Weimaru, Marja Szymanowska, której córka stać się miała później żoną poety. Kult Goethego, który w okolicach Karlsbadu przeprowadzał geologiczne badania nad kamieniami, zwanemi „bliźniakami" do dziś dnia istnieje wśród Niemców karlsbadzkich, gdyż poeta niemiecki pozostawił bodaj jakieś ody, wspominające o tej miejscowości, a łączące się ściśle z jego pobytem tamtejszym.

Możnaby zaryzykować twierdzenie, że Polacy posiadają po Anglikach i po Rosjanach największe zamiłowania turystyczne. Ta cecha charakteru znana już w XVII i XVIII wieku wzmogła się jeszcze, gdy okoliczności życiowe, warunki polityczne i wiele innych czynników skazywały wielu Polaków na przymusową wędrówkę. Odbiło się to też na Karlsbadzie, gdzie napewno niejeden spisek polityczny, niejedna narada nad arcyważnemi sprawami politycznemi brały swój początek.

Ważne manifestacje polityczne Niemców sudeckich, jakie odbyły się w ostatnich miesiącach w Karlsbadzie mają swe odpowiedniki w czasach dawniejszych, kiedy również osobistości, kierujące nawiązywały na tle swobodnego życia kuracyjnego, przy Mühlbrunnie, czy Sprudlu ważne kontakty polityczne, które w rezultacie prowadziły do zmiany stosunków europejskich. Przypomina się wytworna sylwetka króla Edwarda VII, który w szarym żakiecie i szarym cylindrze, zawsze w otoczeniu pięknych kobiet przebywał w Karlsbadzie, gdzie według pamiętnikarzy tych czasów przykładał ręki do tworzenia żelaznego pierścienia naokoło państw centralnych, od czego nie odwiodły go serdeczne przyjęcia, jakich doznawał w Wiedniu od swego „kolegi", również sędziwego monarchy — Franciszka Józefa. Króla widywano nieraz również w stroju sportowym, w krótkich spodniach, z nieodłączną parą dwóch bokserów, dziwnie przypominających „z twarzy" swego dostojnego pana. Ale również i inni monarchowie zaglądali do doliny, w której płynie mała rzeczka Tepla. Pamięta Karlsbad również szacha perskiego, otyłego, wysokiego mężczyznę, o mongolskich rysach, noszącego baranią czapę. Pamięta króla Milana serbskiego, którego syn, król Aleksander, zmarł tak tragiczną śmiercią, zamordowany przez swych oficerów, przebywał tam też niejeden wielki książę rosyjski, czy też „drobniejszy" niemiecki monarcha.

Ciekawe to zresztą miasteczko: szczeroniemieckie, posiada też stare niemieckie zwyczaje. I tak każdy dom posiada swą osobną nazwę, nieraz dosyć naiwną i sięgającą dawnych czasów. Najbardziej wytworną i arystokratyczną jest „Ale Wiese", przy której do dziś jeszcze stoją stare domki, sympatycznie wyglądające i pamiętające w większości wypadków czasy Goethego i Mickiewicza. Na końcu tej ulicy przy przejściu do parków miejskich wznosi się olbrzymi hotel Pupp, który gości najwytworniejszą, względnie najbogatszą publiczność. Ale również drugi hotel wzniesiony olbrzymim kosztem przez Anglików na sporej górze „Hotel Imperial" zwabia tłumy kuracjuszy. Poza tem istnieje oczywiście dużo hoteli i will, położonych nieraz bardzo pięknie wśród ogrodów. Całe położenie miasta jest naprawdę urocze, gdyż rozbudowane jest na górzystym terenie, tworzącym strome, jakby żywcem wzięte z włoskiego miasteczka, uliczki.

Przenikanie elementu niemieckiego i czeskiego na terenie Sudetów ma swój odpowiednik również w historji tych różnych kąpielisk. Jeżeli „odkrywcą" Karlsbadu jest cesarz Karol IV, potomek dynastji niemieckiej Luksemburgów, który również był królem czeskim, a przez Czechów uważany za swojego, to również stosunki narodowościowe w tym zakątku są dosyć skomplikowane. Kultura bezwzględnie jest niemiecka a czeska rozpoczęła swój rozwój dopiero w początkach XIX wieku, względnie od jego połowy, zwłaszcza od chwili, kiedy samopoczucie narodowe zaczęło budzić kilku czeskich historyków, a przedewszystkiem Safarik, Palacky i kilku innych. Naród czeski, w którego kulturze i literaturze nastąpiła duża luka od wieku XVII, a ściśle biorąc od r. 1622, kiedy słynna bitwa pod Białą Górą pozbawiła ten naród najcenniejszych i najwybitniejszych jednostek, aż do wieku XIX-go — począł się następnie gorączkowo organizować tak pod względem ekonomicznym, jak kulturalnym. W pierwszej dziedzinie praca szła o tyle łatwo, że Czesi — nazywani „Prusakami Słowiańszczyzny" mają dużo niemieckich cech charakteru i zdolności do handlu i przemysłu. Powstawać więc poczęły nie tylko oddziały czeskiego Sokoła, ale też domy obywatelskie „Obecny Dum", gdzie skupiały się elementy czeskie.

Wszystkie te narodowościowe tarcia musiały przycichnąć we wspólnym interesie: nie przyjeżdżaliby z całego świata goście, gdyby w zakątku sudeckich kąpielisk panowała walka polityczna. To też zarówno Niemcy, jak i Czesi odkładali porachunki narodowościowe do innych miast, mniej turystycznie zaangażowanych lub też do innych czasów. Ale okazało się, że namiętności narodowościowe są silniejsze od chęci zysku: obecnie bez przesady hasło, któreśmy zacytowali na początku, ilustruje obecny stan rzeczy. Bardzo możliwe, że Karlsbad i jego dalsi sąsiedzi uzdrowiskowi zyskają, jeżeli chodzi o niemieckość bardziej zdecydowany wyraz, ale niemniej jest pewnem, że kura, która niosła złote jajka, została zabita i przestanie je już nieść...

Jan Maleszewski.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki republiki francuskiej.

Zapowiedziane przez nas tydzień temu nowości prezentują się nader okazale i tylko jedno można im zarzucić, iż jest ich aż za dużo. Blok węgierski rzuca się przedewszystkiem w oczy i bije on faktecznie wszystkie rekordy poprzednio wydanych bloków, jeśli chodzi o ilość i rozmaitość wielokolorowych egzemplarzy, połączonych razem. Format 138×157 mm wymaga chyba specjalnych kopert, jeśliby ktoś chciał przylepić tego olbrzyma, i po bardzo dobrze skomponowanym bloczku z Lisztem, ten ostatni odbija się niekorzystnie. Gdyby wymiary zredukować o połowę, podobałby się nam ów blok o wiele więcej. Cena w handlu wynosi niewiele ponad nominale, t. j. 5 zł. 80 gr., podczas gdy równocześnie wydany drugi blok ze znaczkiem za 20 fil. ze serji św. Stefana, kosztuje 3.80 zł. Znaczki w bloku eucharystycznym miały ukazać się także pojedynczo, narazie jednak tylko otrzymaliśmy wartości za 16 i 20 filerów z identyczną dopłatą na cele dobroczynne. Format pojedynczej sztuki 30×36 mm.



Bloczek znaczków węgierskich, wydany z okazji tegorocznego Kongresu Eucharystycznego, który odbył się w Budapeszcie.

Francja, która przez długie lata bardzo wstrzemięźliwie emitowała nowości, teraz reperuje zdaje się finanse ministerstwa poczt z kieszeni zbieraczy znaczków. Oczywiście najważniejszą jest nowa regularna 10-frankówka, z dzwonnicą z Vincennes, oraz zapowiedziana 20-frankówka, narazie jednak zamieszczamy wcześniejsze chronologicznie znaczki „na cześć francuskiej piechoty". Wykonanie wszystkich sztuk jest wspaniałe, delikatny staloryt daje bowiem bardziej artystyczny efekt, aniżeli heliograwura. Wartości 55+70 c. i 65 c. + 1.10 fr. drukowane są w kolorach brązowym i jasno niebieskim. Poza tem notujemy jeszcze jeden odosobniony egzemplarz, tym razem „à la gloire du service de santé" za 55+45 c. (czerwony), który ostatnio przybył do nas z Paryża.

W. H.

Z CYKLU: „POTWORY MORSKIE"

RAJE

Rozpatrując wielką liczebność i różnorodność świata zwierzęcego i zastanawiając się, czy istnieją jeszcze gatunki nieznane i nigdy niewidziane okiem człowieka, dochodzimy do przekonania, że zbyt wielu odkryć w tej dziedzinie nie możemy się spodziewać. Świetny rozwój nauk przyrodniczych w ub. wieku oraz liczne wyprawy i ekspedycje w najbardziej niedostępne części świata zostawiły nieznaczne, tylko stosunkowo niezbadane lub mało zbadane obszary, że trudno byłoby spodziewać się jakichś nowych wielkich odkryć, zwłaszcza odnośnie wielkich zwierząt, bo naturalnie gdy np. chodzi o świat owadów, to każdy rok przynosi nowe dziesiątki, a nawet setki nieznanych dawniej gatunków.

Są jednak obszary wielkie, nawet wprost olbrzymie, gdzie nasza znajomość świata zwierząt jeszcze dzisiaj nie jest zbyt dokładna. To obszar wód oceanicznych, zajmujący 2 i pół razy większą przestrzeń powierzchni ziemi, aniżeli ląd. Średnia grubość masy wodnej wynosi około 4 km, są jednak miejsca, gdzie głębia wód przekracza 10 km, to też objętość wód oceanów przenosi 1 miljard kilometrów sześciennych.

Wielkie obszary oceaniczne jednak, a w pierwszym rzędzie świat głębin morskich, ciągle stanowią tereny mało zbadane. Jakżeż zmieniły się nasze poglądy na życie w głębinach od czasu sławnej podróży Williama Beebe'a, który przed paru laty w stalowej kuli opuścił się na głębokość ponad 900 metrów!

Z resztek kostnych zachowanych w muzeach przyrodniczych wiemy, jak olbrzymie zwierzęta zamieszkiwały oceany w dawnych epokach przed wielu miljonami lat. A jednak i dzisiaj głębiny morskie zamieszkują prawdziwe potworne olbrzymy, wielkością swych cielsk znacznie przewyższające największe zwierzęta lądowe. Do takich olbrzymów należą rekiny. Niektóre z nich dochodzą, a nawet przekraczają długość 10 metrów, a odznaczają się niezwykłą siłą i szybkością ruchów, pozatem wielką odwagą i żarłocznością, które nadały im nazwę tygrysów morskich. Do podobnych olbrzymich rozmiarów dochodzą nieraz i piły. Prawdziwymi też potworami morskimi, których waga ciał przekracza nieraz dwie tonny, są niektóre gatunki raji

Raje należą wraz z żarłaczami do ryb chrzęstnoszkieletowych, to jest takich, które nie posiadają szkieletu skostniałego, lecz tylko chrząstkowy. Dzięki spłaszczeniu swego ciała noszą one również nazwę płaszczek, chociaż niektórzy ichtjologowie i systematycy-zoologowie wydzielają osobno rodzinę raji (Rajidae), objętą obszerniejszym rzędem płaszczek.

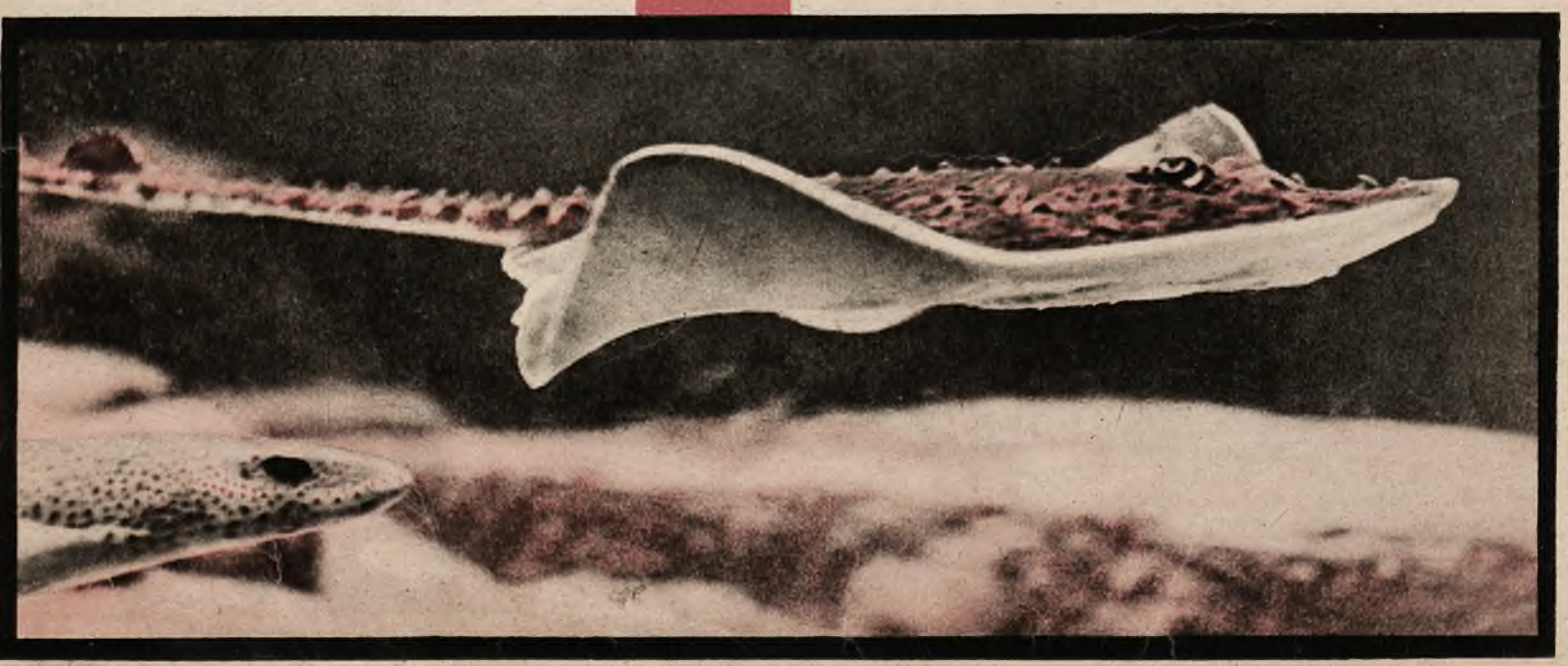
Płaszczki są rybami o ciele spłaszczonem i o zarysach prawie okrągłych dzięki silnemu rozrostowi płetw piersiowych. Są one naogół rybami dennemi, żyją przeważnie w pobliżu brzegów, zagrzebane w piasku, czekając na zdobycz. Gdy oderwą się od dna i falistymi ruchami swych olbrzymich płetw piersiowych unoszą się w wodzie, robią wrażenie jakichś olbrzymich nurkujących ptaków. Są one dobrymi pływakami, chociaż na pierwszy rzut oka robią wrażenie raczej ryb niezgrabnych. Dok. na str. 31



Podczas startu do napadu na upatrzoną ofiarę raja odbija się od dna za pomocą swego ogona, zaopatrzonego w jadowity kolec.



Na lewo: Ten potwór morski odznacza się naprawdę fantastycznemi kształtami.



Poniżej: Płaskie cielsko raji tnie wodę niczem ostry nóż... Wszystkie zdjęcia: MUNDI — Amsterdam.

WITAMINY Z.

KAZIMIERZ ŁUKOCZ • NOWELA

Przez otwarte okno gabinetu profesora Zorskiego dolatywał gwar wiosenny.

Uczony wielkiemi krokami przemierzał pokój.

Ciekawa to była postać: twarz miał ascety o ostrych, subtelnych rysach. Twarze takie widuje się na dawnych pomnikach rzymskich lub malowidłach klasztornych.

Cała jego postać tchnęła siłą woli, sprawnością umysłową i indywidualnością.

Chodząc wzdłuż szaf z książkami, nieraz zatrzymywał się przed jedną z nich, wyjmował książkę z półki, przewracał nerwowo jej kartki, sprawdzał coś, by następnie odłożyć książkę na biurko i kontynuować swą wędrówkę.

Uczniowie profesora Zorskiego wiedzieli, że w takich to spacerach rodzą się u uczonego najlepsze pomysły, które wkrótce potem zadziwią świat lekarski.

Sam profesor nazywał siebie „perypatetykiem" i twierdził, że już Schopenhauer stwierdził zbawienne działanie ruchu na funkcjonowanie myśli.

Tym razem również ważny problem zaprzątał umysł profesora.

Chodziło o ostateczne wykończenie wiekopomnego wynalazku, o uzgodnienie działania witaminy Z — jak ją nazywał od swego nazwiska w myśli — w organiźmie ludzkim. Witamina Z miała zapoczątkować nową erę w dziejach ludzkości. Jakkolwiek profesor Zorski dość sceptycznie zapatrywał się na znaczenie wynalazków w odniesieniu do życia społeczeństwa i nienawidził wszelkich superlatywów, używanych przez prasę przy opisie takich wynalazków, przyznawał jednak, że jego wynalazek naprawdę wpłynie korzystnie na rozwój życia ludzkiego na ziemi. Nad wynalazkiem pracował już od czterech lat: dopiero jednak w ostatnich kilku miesiącach udało mu się uzyskać trwałe i konkretne wyniki, eksperymentując swój wynalazek na młodych psach, królikach i żabach.

Witamina Z dotychczas otoczona mgłą powątpiewania, nierealna, zaczynała stawać się tworem konkretnym, prawdziwym, który już wkrótce mógł oddać niezwykłe usługi ludzkości. Witamina Z miała zapewnić ludzkości długowieczność. To, co było również celem Woronowa i Steinacha i wielu innych uczonych, co jednak po pewnym czasie okazywało się tylko zdobyczą połowiczną i nietrwałą, stało się udziałem genjusza profesora Zorskiego

Ileż to nocy bezsennych, ileż to godzin w największem napięciu umysłowem spędził Zorski w swem laboratorjum, zanim udało mu się wpaść na trop swego wynalazku! Rozporządzając wielkiem laboratorjum w swej willi pod Warszawą, Zorski nie szczędził pracy ani kosztów, aby móc każdy eksperyment wykonać według swego życzenia, a liczne zeszyty pełne notatek pisanych drobnem pismem uczonego świadczyły o wielu miesiącach, spędzonych na walce z oporną materją, z której chciał wydobyć składnik potrzebny do swego preparatu. — Wkońcu udało się znaleźć właściwą drogę: witaminy Z, stosowane u dzieci od lat 10, miały na przyszłość zapewnić im „nadwyżkę" życia w ilości dziesięciu do trzydziestu lat, a poczynione na zwierzętach badania wykazały w pełni słuszność teorji Zorskiego.

Lecz Zorski nie był tylko lekarzem i bakterjologiem: posiadał umysł ogromnie chłonny, ciekawy wszystkich dziedzin życia.

Chodząc po pokoju i odbiegłszy na chwilę od swych zawodowych rozmyślań, profesor Zorski starał się sobie przypomnieć pewien ustęp z dzieła wielkiego filozofa rzymskiego Seneki „O starości", który utkwił mu w pamięci dzięki wielkiej trafności definicji, teraz jednak uleciał z jego głowy.

— Czemże jest starość? — powtórzył po raz tysięczny Zorski, który zastanawiał się nietylko nad istotą fizyczną, ale też nad psychologiczną wielu zjawisk. — Obumieranie, kończenie się! Ale w tem pojęciu jest więcej: jest też zgarnianie plonu, na który pracowało się przez całe życie. I czy warto przedłużać życie? Czy dadzą te lata dodatkowe, podarowane ludzkości jakikolwiek pozytywny, wartościowy rezultat? Co z tego, że ktoś tak samo jak dotąd żyć będzie jeszcze lat dziesięć czy dwadzieścia? Czy będzie lepszy? Czy będzie je umiał wykorzystać?

Sam Zorski miał lat sześćdziesiąt, ale trzymał się nadwyraz dobrze. Wytrwała praca, przerywana uprawianiem zdrowych sportów, liczne podróże utrzymały krzepkość tego ciała, równie sprawnego jak umysł uczonego. Mimo to dążący naprzód Zorski, odczuwał nieraz swój wiek boleśnie.

I teraz, przypominając sobie lapidarne słowa rzymskiego filozofa i starając się znaleźć definicję starości, Zorski bardziej był psychologiem i filofozem niż biologiem.

A wszystko to, jak zresztą w życiu każdego prawie człowieka, łączyło się z jego osobistemi przejściami, z radością i bólem jego życia. Przypomniał sobie Różę, jaką widział po raz ostatni dziesięć lat temu. Południowa jej uroda, jaśniała wtedy całą krasą młodości: miała lat dwadzieścia dwa.

Przesunął ręką po czole. Był zmęczony, zgnębiony wspomnieniami.

Jakby odpędzając od siebie mary przeszłości, zasiadł przy biurku, wziął do ręki ołówek i począł obliczać formułę chemiczną.

— Praca, praca! — wyrwał mu się stłumiony okrzyk, jakby skarga na los, na ludzi, na cały świat.

Do gabinetu wszedł służący.

— Pan profesor Werner chciałby się widzieć z panem profesorem! — oznajmił.

Zorski wstał od biurka, podążając do salonu. Wizyta starego kolegi była mu nadzwyczaj na rękę, gdyż wyrwała go z kręgu wspomnień, które go poczęły znów prześladować.

— Pozwólcie kolego — przywitał przybyłego — cieszę się, żeście sobie o mnie przypomnieli wkońcu.

Trzymając Wernera pod rękę, nieomal czule, po przyjacielsku prowadził go do gabinetu.

— Przyszedłem do was, aby pogawędzić na temat witaminy Z. Wiemy o niej coś niecoś, ale nic pewnego. A właśnie zaproszono mnie do napisania na ten temat artykułu do paryskiego przeglądu medycznego. Jeżeli więc pozwolicie, pomówimy o tem. Wszak w tem niema już tajemnicy!

Usiedli wygodnie przy biurku. Profesor Werner, dawny asystent jednego z niemieckich uniwersytetów, wyjął z skórzanej papierośnicy grube cygaro i zapalił je.

— Jak tu u was ładnie! — zaczął. Taki spokój, taka cisza, wspaniały ogród, ładna willa, wszystko, co potrzeba do szczęścia. Wspaniałe laboratorjum, jak słyszałem, z najnowszemi instrumentami, duża bibljoteka! Musicie być szczęśliwi?

Zorski machnął ręką.

— My uczeni nie jesteśmy na to na świecie, aby być szczęśliwymi: żyjemy poto, aby innym utorować drogę do szczęścia. Więc moje prywatne sprawy się nie liczą. Cieszę się, że zdołałem stworzyć witaminę Z i to chwilowo najwięcej mnie zaprząta. I całe szczęście, że mam tę pracę, bo...

Nie dokończył: spojrzał na kolegę, jakby chcąc go wybadać czy może mu powierzyć sekret swej duszy. Werner, mały gruby człowieczek o złotych okularach, z zadowoleniem puszczał kłęby dymu, robiąc wrażenie, jakby to było głównem jego w życiu zajęciem.

— Przed chwilą rozmyślałem nad istotą starości. przypomniałem sobie cośniecoś z Seneki, ale stwierdziłem, że filozof rzymski nie zawsze zdołał wniknąć w ducha starości. U Rzymian starość ma jakiś wyraz wielkości, szczęścia, jest czcigodna, mądra. U nas ludzi dzisiejszych jest inaczej: wszystkie złe i smutne właściwości przypisujemy jej i uważamy ją za klęskę. Może inaczej żyjemy, może też zmienił się pogląd na życie? O ile wtedy uważano ją za coś naturalnego, dzisiaj buntujemy się przeciwko temu zanikaniu naszych ciał i naszych umysłów, uważamy to za niesprawiedliwe. — I przyznam się, ja też jestem tego zdania: uważam, że starość to niesprawiedliwy, zaoczny wyrok, wydany przez sąd, przed którym nie możemy się bronić.

Werner słuchał uważnie.

— A nie uważa pan kolega, że przedłużanie życia jest bądź co bądź nienaturalne? Że jest niejako contra naturam, jeżeli uważamy, że natura wszystko jak najlepiej obmyśliła? A tak ostatecznie jest! Właściwie z punktu widzenia filozoficznego nie ma wielkiego sensu tak za wszelką cenę bronić się przed starością i śmiercią. Zresztą nie długość życia decyduje o jego szczęściu, lecz jego charakter, tryb i bogactwo umysłowe człowieka. Oczywiście, że biolog musi starać się o zwalczanie chorób, śmierci i starości.

Zorski wstał z fotela i począł chodzić po pokoju. Jakaś natarczywa myśl nie pozwalała mu spocząć.

— Nie, myli się pan — rzekł zdecydowanym, niemal groźnym tonem. Śmierć jest nadużyciem, jest zwykłem szachrajstwem. Niech pan spojrzy na ogród: tysiące roślin, motyli, zwierzątek, much i chrabąszczy cieszy się z życia. W pewnej chwili następuje kres, skoro tylko zapewniły sobie potomstwo. To jest jeszcze zrozumiałe bo żyją one instynktem, nie mają własnego świata umysłowego. Ale człowiek? Nie! Panie kolego, to jest wprawdzie zgodne z naturą, ale jest rewoltujące!

Mówił z takiem przekonaniem, z taką siłą, że jakieś osobiste momenty musiały grać tu rolę.

— Zwierzę się panu z sekretu!

Werner spojrzał na niego nieomal ubawiony, tak bardzo sekrety i wybuchy namiętności zdawały się nie licować z zimną, spokojną twarzą Zorskiego.

— Słucham pana, panie kolego!

— Witamina Z jest tylko rewanżem jaki chciałem wziąć nad życiem, jest odpowiedzią na to straszne prawo, które miljardy ludzi pogrąża od wieków w nicości. Byłem kiedyś zakochany: kobieta, którą ubóstwiałem, była cudna. Gdy się ją widziało, miało się wrażenie, że się nie mówi z osobą żywą, a z jakąś bohaterką romansu średniowiecznego. Natura wysiliła się przy stworzeniu jej aby dać jej wszystko co najpiękniejsze. Była skończenie piękna, skończenie harmonijna. Miała lat dwadzieścia dwa, ja miałem ich pięćdziesiąt. Mimo że zdołałem ją przywiązać do siebie, mimo iż wyświadczyłem jej tyle dobrych rzeczy, tak się nią opiekowałem, mimo to wszystko wiek, ta fatalna różnica sił żywotnych, wyglądu, ruchów i innych szczegółów, stanęła między nami Odnosiła się do mnie jak do ojca, nie mogąc oczywiście odczuwać dla mnie żywszych uczuć. Ja z moją miłością i memi siwemi włosami, z memi ostremi rysami starca przedwcześnie steranego życiem i myślą, byłem śmieszny, ale byłem też tragiczny. Pewnego ranka zastałem na moim stole w gabinecie kartkę mej żony, która opuściła mój dom wieczora dnia poprzedniego. Pisała krótko, jakby nie potrzebując się tłumaczyć. Poprostu poszła za kimś młodszym, piękniejszym. Wszystko było w porządku, tylko ja biedny, głupi, zaślepiony i śmieszny człowiek miałem piekło w duszy.

Ciężko dysząc przestał na chwilę mówić. Sięgnął po szklankę z wodą i popił kilka łyków.

— Od tej chwili wypowiedziałem walkę naturalnym prawom, rzuciłem rękawicę odwiecznemu porządkowi, jakby był moim osobistym wrogiem. Pracowałem przez wiele lat nad tem aby wynaleźć środek przydłużający życie człowiekowi. I wynalazłem go! Witamina Z, jak wykazały ostatnie moje doświadczenia z całą pewnością zdoła pokoleniu, wychowanemu według moich przepisów darować nowych dwadzieścia lat! Czy nie jest to zwycięstwo nad życiem, a raczej śmiercią?

W gabinecie zapanowała na chwilę cisza. Oczy Wernera błyskały wesoło i szelmowsko.

— Panie kolego, z punktu widzenia medycznego dokonał pan wielkiej rzeczy. To pewne, ale czy z punktu widzenia psychologji człowieka, jest to również godne pochwały?

— Jesteśmy pod wpływem starej, odwiecznej tradycji, od tysiącleci przyzwyczailiśmy się brać to nieuchronne zło z całą rezygnacją, i dlatego trudno nam poprostu stawiać życiu warunki, upominać się o nasze prawa. Uważaliśmy, że życie daje nam Opatrzność: otóż nie, mamy do niego prawo, tak jak mamy prawo do odpowiedniego do naszej pracy wynagrodzenia. Tylko musimy żądać tego, a wtedy znajdzie się zapłata.

— Oby pan stał się dobroczyńcą ludzkości! — Werner podniósł się z swego fotela.

Zapadał letni wieczór. Tysiączne głosy

Dokończenie na str. 12-tej.



Dokończenie ze str. 10-tej.

pochowanych w drzewach, w trawie istot żyjących tworzyły dziwnie harmonijny, senny jakiś pochwalny hymn życia. W powietrzu unosiła się wilgoć wieczoru. Niebo było ciemne, jakby za chwilę miał spaść deszcz.

Wolnym krokiem Zorski podążył zpowrotem do swego mieszkania.

— — — — — — — —

Znów przeszedł pracowity dzień, podczas którego profesor Zorski wykładał w uniwersytecie, robił różne doświadczenia, aż wkońcu, spożywszy kolację, zmęczony zasiadł w swym gabinecie by dla odprężenia nerwów posłuchać radja.

W pokoju zapanowł wnet nastrój niemal wesoły. Od czasu do czasu głos speakera oznajmiał nowy „numer" koncertu.

Wtem dał się słyszeć coraz to bardziej zbliżający się hałas motoru samochodowego.

W chwilę później drzwi gabinetu się otwarły.

Do pokoju profesora Zorskiego weszła jego żona Róża.

Stanęła u drzwi, profesor wpatrywał się w nią jak w postać ducha.

Wstał gwałtownym ruchem. Podszedł do niej. Ujął ją za rękę. Na twarzy jego pojawił się nieśmiały uśmiech. Oczy błagały o przebaczenie.

— Przyszłaś, Różo? — zapytał.

— Przyszłam! — odparła cicho.

— Po dziesięciu latach! Odeszłaś bez pożegnania.

— Tak, bez pożegnania, nie chciałam utrudniać ci rozłąki.

— Tak, byłaś względna dla mnie — kąciki ust Zorskiego zadrżały.

Róża usiadła na fotelu, w którym przed chwilą spoczywał Werner. Rozglądała się po pokoju.

— Dużo sie tu zmieniło! — wyrzekła wkońcu.

— Dużo, dużo... — odrzekł jak echo profesor.

— Dużo się zmieniło — powtórzył po chwili. — Całe moje życie i moje szczęście — dodał ciszej.

— Zrozum mnie, Jerzy, nie mogłam... — poczęła tłumaczyć jego żona.

— Tak, wiek przynosi ze sobą mądrość i zrozumienie, więc rozumiem. Ale widzisz...

— Byłeś dla mnie dobry, jak ojciec się mną opiekowałeś... Ceniłam to, ale to nie wszystko. Zakochałam się... Byłam taka młoda... A życie jest krótkie...

Zapadła cisza.

— Cieszę się z twych sukcesów. Cały świat o tem pisze... Jesteś sławnym człowiekiem!

— Sławnym i nieszczęśliwym! — odparł głucho.

— Wróciłam do ciebie... Zawiodłam się... miałam dużo przykrości w życiu. Miałam chwile, kiedy chciałam sobie odebrać życie

— To życie, któreś tak ukochała, Różo!

Podszedł do niej: ręce jego ujęły ją pod brodę i spojrzał w jej oczy.

— Zawsze masz takie piękne, głębokie oczy! — rzekł — Zawsze jesteś piękna. Jak wtedy!

Po chwili dodał:

— Jesteś pewno głodna? Nie jadłaś kolacji. Zaraz ci dadzą coś abyś się pokrzepiła.

Zadzwonił na służącego.

— Znów zasiądziemy w tym dużym okrągłym pokoju o zielonych tapetach? — zapytała.

— Tak, jak dawniej... Ale to już nie będzie to co było. Jeszcze godzinę temu byłem innego zdania. Mówiłem z moim kolegą o witaminach Z. I twierdziłem, że ludzkość powinna protestować przeciwko starości i śmierci i powinna się uwalniać od tej tyranji czasu. Każdy ma prawo do życia i do szczęścia. Witamina Z będzie tym pierwszym krokiem do zrzucenia tyranji. I, Różo, powiem to tylko tobie — pierwszą i jedyną myślą jaka mną kierowała było odmłodzenie samego siebie. Jak jakiś Faust współczesny marzyłem o tem, aby zdobyć twoje najgorętsze pocałunki i uściski jako młody, silny człowiek. To mnie pchało do celu, to kazało mi ślęczeć nad temi retortami i szkłami, których ty nigdy nie mogłaś rozróżnić. Pamiętasz?

— Pamiętam, Jerzy.

— Wpatrując się w gotującą się ciecz, czy filtrując jakiś preparat przez sączki zawsze miałem twój obraz przed oczami. Ty byłaś duchem, który mnie popychał do coraz bardziej wytężonej pracy dla ludzkości, a właściwie dla siebie samego.

Opadł bez siły na fotel. Ukrył głowę w rękach i długo tak trwał.

— Myślałem, że przyjdzie chwila kiedy ciebie znowu odzyskam. Kiedy znowu usta twe uśmiechną się do mnie, kiedy wyciągniesz do mnie ramiona. I wtedy, w tej chwili chciałem być piękny, młody, pełen energji i siły. Czego się nie robi dla kobiety! — dokończył.

— Będę dla ciebie dobrą, naprawię mój błąd... — starała się pocieszać męża, nie wiedząc co właściwie powiedzieć w tej niezwykłej sytuacji.

— Ale teraz kiedy weszłaś do mego domu, kiedy znowu jesteś przy mnie, teraz zobaczyłem namacalnie nieomal jakim byłem naiwny, głupi i jakim oddawałem się fantazjom. Nie pytam o powód, który skłonił cię do powrotu po tylu latach. Pewnie powód jest ważny, ale nie chcę wiedzieć jaki. Dosyć, że przyszłaś. Że usiadłaś na tem samem miejscu jak przed dziesięciu laty... Ale to jeszcze niczego nie zmienia. Przez ten czas, a właściwie teraz przed chwilą zobaczyłem po raz pierwszy życie we właściwem świetle.

Po chwili zjawił się służący prosząc do jadalnego pokoju, gdzie podano kolację.

Rozmowę prowadził profesor monsylabami. Nie chciał dociekać jak i gdzie żyła jego żona przez ostatnie lata. Chociaż dochodziły go pewne wiadomości, starał się nie poruszać z nikim tego bolesnego tematu, to też wiedział niewiele. Róża również nie bardzo mogła i chciała opowiadać mężowi o swojem życiu. Po skończonej kolacji wyszli do ogrodu.

Cudna noc roztaczała nad światem swe tajemnicze powaby.

— Widzisz jaki jest piękny świat i jaka ty jesteś piękna, a mimo to są ludzie nieszczęśliwi, dla których już nigdy nie zabłyśnie nadzieja.

Szli w stronę pawilonu, w którym mieściło się laboratorjum profesora Zorskiego.

— Pokażę ci laboratorjum. Dużo rzeczy tam przybyło, dużo też udoskonaliłem od czasu kiedy je widziałaś. Pokażę ci jak wygląda ta witamina Z, która ma mnie uczynić sławnym na cały świat.

Weszli do dużej sali, w której stały różne aparaty, stoły zastawione szkłami wszelkich wielkości i postaci. Wkońcu duża kasa ogniotrwała zwracała uwagę Róży.

— W tej opancerzonej szafie trzymam formułkę na witaminę Z. Wartość jej finansowa wynosi kilka miljonów złotych lekko licząc, a wartość prestiżowa, naukowa dla mnie i dla naszej nauki jest olbrzymia. Jest to jedyny środek jaki naprawdę może być nazwany skutecznym. Wszystkie inne, dotychczas odkryte miały tylko ograniczony zasięg działania.

Wyjął z szafy skórzany zeszyt w którym kartki zapisane były różnemi notatkami i formułkami chemicznemi.

— Oto rezultat mej pracy. Te kilkanaście kartek pisma. Ślęczałem nad niemi kilka dobrych lat.

Twarz profesora zdradzała silne wzruszenie. Nerwowo drgały kąciki ust, ręce drżały.

— Ty, Różo, nauczyłaś mnie, że nie należy niczego sztucznie podtrzymywać, nie należy zmuszać okoliczności, nie należy tworzyć szczęścia zapomocą jakichś formułek chemicznych. Szczęście przychodzi samo, wtedy kiedy chce i kiedy uważa, że właściwa nadeszła pora. To też i witaminy Z nie będą już nikomu potrzebne. Składam je u twych stóp!

Wyjął z kieszeni papierosa, włożył go do ust. Zapałką zaś zapalił zeszyt, którego kartki poczęły się tlić powoli. A następnie palącą się książką zapalił papierosa.

Róża patrzała na to wszystko z niemem przerażeniem. Chciała krzyczeć, ale czyn profesora tak dalece ją zaskoczył, że nie była zdolna do wydania głosu.

— Wszystko, Różo, pozostaje po dawnemu: szczęście tam zagości gdzie potrzeba, a nie pokusi się o nie zwarjowany stary profesor!

Na wieczorze stylowym w Łazienkach

Doroczny bal Związku Obrońców Ojczyzny, który odbył się pod protektoratem Pani Marszałkowej Piłsudskiej pod nazwą „Wieczór Stylowy“ w Łazienkach wypadł niezwykle malowniczo i nastrojowo, przypominając imprezy artystyczne za króla Stasia. Radca M. S. Z.-tu Wiktor Podoski ubrany w strój markiza z XVIII. wieku, zapowiadał archaicznym stylem poszczególne obrazy widowiska w amfiteatrze. Menuet i gawota odtańczyły panie Bork, Buré, Gamper, Filipowiczowa i Wasilewska.

Jedną z głównych atrakcyj balu był konkurs tualet. Nagrody uzyskały: I. p. Peggy Schultz-Biddle, II. art. mal. Gena Galewska, III. p. Jana Burchardtówna, IV. p. Nedy Trajanow, V. Wanda Bork, VI. p. Nadia Freire d'Andrade, VII. red. St. Miernowska.

Wśród gości zauważyliśmy pp. podsekretarzy stanu hr. Szembeka, Grodyńskiego i Bobkowskiego z małżonkami, byli też obecni p. ambasadorowa francuska Noel, p. ambasador amerykański Drexel-Biddle z małżonką, ambasador rumuński Franasovici z małżonką, p. posłowa estońska Markus z córką, poseł węgierski Hory, poseł czeskosłowacki dr. Slavik z małżonką, poseł irański Hamid Saja, poseł holenderski ridder Bosch, van Rosenthal z małżonką, poseł szwedzki Lagerberg, poseł litewski Szkirpa, sekretarz ambasady włoskiej Ciraolo, sekretarz pos. portug. Freire d'Andrade z małżonką, gen. Górecki, gen. Burchardt-Bukacki, gen. Trojanowski, radca Zaniewski z kancel. cyw. P. Prezydenta R. P., red. Karczewski z małżonką, red. Strzetelski z małżonką, dyr. Drymmer z M. S. Z-tu, radca Rowmund Piłsudski, b. ambas. Filipowicz, p. Karszo-Siedlewska z córką i wiele innych. Zabawa trwała do białego dnia.



„Mistrz ceremonji“, radca M. S. Z. Wiktor Podoski.



Poniżej od lewej: Poseł szwedzki Lagerberg, córka ambasadora amerykańskiego p. Peggy Biddle, art.-rzeźbiarz Jackowski i wiceminister Bobkowski.



Poniżej od lewej: Sekretarz ambasady włoskiej Ciraolo, córka posła bułgarskiego p. Nedy Trajanow i sekretarz ambasady tureckiej Muharrem Nuri Birgi.



Menuet na wyspie w wykonaniu pp. Bork, Buré, Gamper, Filipowiczowej i Wasilewskiej.



Widownia łazienkowskiego amfiteatru, zapełniona wytworną publicznością.

Wszystkie zdjęcia: Fot. „AS“.

MORZE wzywa nas!



Na pełnem morzu...
Fot. A. Progulski — Lwów.

Na prawo: Myśl ucieka daleko od ludzi...
Fot. Zdzisław Bukowski — Kraków.



„Na morze! Na morze!“
wołanie przypływu
już bije w przestworze
i serce nie rani,
że muszę iść za nim.
Niczego, niczego,
lecz wichru mi trzeba,
chmur białych, co biegną wśród nieba,
i fali perlistej i piany srebrzystej
i krzyku mewy dzikiego.
Alain Gerbault.

Jest w psychice ludzkiej wielki i nieodparty głód szlachetnej przygody, przemożny pęd do czynów niecodziennych, do wielkich wysiłków.

Ogarniają ludzi chwile, podczas których rodzi się bunt przeciw mierności i szarzyznie codziennego życia. Niewiadomo, skąd przychodzi to uczucie tęsknoty za nieskrępowaną swobodą, za wyrwaniem się z tryb ów standartu życia. Chciałoby się zuchwałym gestem beztroskiej młodości odrzucić ciążące na rękach kajdany — współczesną cywilizację, krępującą zdrowe, z iskrami zapału w przyszłość idące indywidualności.

Dziś, w tych młodych duszach, jak w zwierciadłach przeglądają się wspomnienia innego świata, które dały im poczucie świadomości własnej siły, poczucie wielkiego zwycięstwa.

Wielka namiętność do morza, wypełniająca po brzegi duszy młode organizmy wyrasta z niespotykanych trudności, z nieustającego napięcia mięśni, z nieprzerwanej czujności, z osaczenia ze wszystkich stron przez żywioły, z szumu wichru i bełkotu fali, ze złocistych pocałunków palącego słońca.

Jest nas liczna gromada tych zapaleńców, wyznawców wspólnego umiłowania przestrzeni, zdobywanej pracą własnych mięśni. Co rok prowadzeni echem niekończącej się pieśni Bałtyku, spotykamy się razem z wszystkich krańców Polski, jako pielgrzymi z krain wiecznie dymiących kominów Śląska, z kwitnących łąk górzystego Podhala, z wyzłoconych łanami zbóż nizin sandomierskich, bagnistych, zasnutych mgłami krain Polesia i lesistych, wiecznie zielonych stron Wileńszczyzny. Spotykamy się wiedzeni instynktem koczowniczego życia, z pogardą dla domu i z dreszczem oczekiwania szlachetnej przygody.

Często nie wiemy nic o sobie, nie znamy się. Odnajdujemy się dopiero wśród przygód, wśród chwil, które pozwalają na jedno wielkie odkrycie:: że jesteśmy poprostu zakochani w morzu i w statkach — że łączy nas jakiś łańcuch, który opasuje nie tylko nas, ale jeszcze wszystko to, co morskie — to co owiane wiatrem z nad morza;; od stalowych ramion dźwigów portowych aż po samą nieustannie drażniącą linję horyzontu.

Pociąga nas życie portu z jego nieustającą gorączką stalowych kranów, — gorączką wysokiego ciśnienia pary w dalekobieżnych lajnerach. Niepokoi nas dziwna symfonja zgrzytów łańcuchów podnoszonych ładunków, łoskot zderzaków i ryk syren zakotwiczonych na redzie okrętów.

Zachwyca nas wspaniały, niedawno jeszcze nieznany kontrast żelbetonowych konstrukcyj gmachów morskich z opierającymi się prawie o nie masztami smukłych fregat — tych ostatnich romantyków mórz, czerpiących swą moc i życie z oddechu oceanów. Ileż cichych i niezaspokojonych pragnień odczuwa się na widok takiego skrzydlatego statku, na którego sosnowym pokładzie pod niebosiężnemi linami można ścigać i orać niekończące się zwały wód, po wiecznie żyjących i drgających gościńcach świata.

W małej kabinie i zawieszonej tuż pod burtą koi, może streścić się cała młodość człowieka-tułacza, spragnionego walki i zmagań z groźnym żywiołem. Jego statek staje się drugą, nieporównanie piękną kochanką. Znajduje w nim szczęście, którego nie mógłby znaleźć na piaszczystych wybrzeżach lądu. Pod strunami rozpiętych żagli mijają godziny, wydzwaniane dzwonem pokładowym a myśl ucieka od ludzi i wyzwala się od wspomnień rzeczy niekochanych... pozostają tylko statek, niebo i morze.

* * *

Któregoś poranku z plecakiem na ramionach wyskoczyłem przez okno. Spojrzałem ku niebu, pod strop dachu, żegnając myśla moich towarzyszy, tych przemiłych lwowskich łobuzów. Żegnałem nieporównane chwile wieczornych gawęd morskich.

Z niedużego pokładu kutra, poprzez jego rufę patrzyłem na miasto nieustającej pogoni za chlebem, miasto gorączki pieniądza, żegnałem świat konosamentów, spedytorów, domów towarowych pełnych skrzyń, znakowanych tajemniczą mową skrótów handlowych. Wsłuchiwałem się w zgrzyt bloków i łańcuchów aż do chwili, kiedy dalekie echo Gdyni utonęło w szumie rozbijanych fal. Pozostała jeszcze koronka stalowych konstrukcyj, skrząca się w promieniach wschodzącej zorzy, jeszcze wysokie, otulone pajęczyną lin maszty, aż wszystko to zostało gdzieś hen daleko, zasnute woalem błękitno siwych dymów i mgieł.

Przed nami kaskada świetlnych ogników tańczyła od burty aż po siną wstęgę horyzontu.

Wyrzuciliśmy sieć za rufę. Nerwowo wypadały skręty lin, a po chwili napięły się jak struny; kuter zwolnił biegu — zaczął się połów. Kilka godzin minęło, a centnar flądra drgał jak żywa larwa na deskach pokładu.

Słońce było wysoko, jak znowu ciągnęliśmy rękami linę sieci, wsparłszy się nogami o nasadę masztu.

Ciężka bestja, niczem tłusty rekin! — myślałem.

Powoli z za burty wynurzyła się podciągana sieć. Na Jowisza!

W sieci sterczał ogromny kawał torfu.

Za trud i mordęgę niespokojnej fali, za

długie godziny oczekiwania i stratę kilkunastu kilogramów ropy, złowiliśmy sporą ilość torfu, starą czapkę marynarską, flaszkę z wódki i... otwarte pudełko sardynek.

Ostatnie blaski zachodzącego słońca złociły wieżę helskiego kościółka, jak zmęczony, wyskoczyłem z kutra na betonową przystań helskiej mierzei.

— — — — — — — — — —

Była czwarta godzina, kiedy wyszedłem na pokład i jednem spojrzeniem objąłem ciężkie chmury, czarne i ponure, zbliżające się od północy. Chwilami słabe smugi światła przedzierały się przez te ciemne, kłębiące się masy obłoków. Przestwór zatoki wyglądał jakby wymarła pustynia, tylko białe płaty piany, tańczące na falach, urozmaicały ponury krajobraz. Cisza rozlała się płynną ławą, a wiatr ucichł zupełnie i najlżejszy powiew nie muskał powierzchni morza. Po pierwszych, odległych grzmotach burza zamilkła, jakby gotując się do nagłego skoku. Kilka mew z głośnym krzykiem krążyło wokół masztu, niepokojąc się.

W niesamowitej ciszy każdy dźwięk było słychać daleko. Z nad brzegu dochodziły nawoływania i krzyki rybaków, a z nad morza suchy klekot powracających kutrów. Poszedłem w stronę przystani. Pełno było tutaj gorączki. Zapanował żywy ruch — zwijano żagle, ściągano suszące się na bomach grotów delikatne sieci, skracano cumy, przykrywano luki brezentami.

Spojrzałem na ciężkie ołowiane kłębowiska chmur. A może burza się rozejdzie — myślałem. Wszystko teraz ucichło, rozsiadła się głucha cisza. Spokój ten czynił jakieś przejmujące, groźne wrażenie. Wróciłem na kuter. Przy jasnym blasku naftowej lampy, obok wymontowanego motoru, siedziało trzech rybaków, paląc pękate, sczerniałe fajki. Jeden z nich, o potężnych barach, z niekształtną głową, o twarzy czarnej, spalonej przez wiatry, opowiadał, puszczając spokojnie kłęby sinego dymu. Usiadłem wśród nich, słuchając starej jak świat o zabobonach gawędy. I długoby może opowiadał, gdyby nie krótki, świszczący ton nie przerwał mu w pół zdania. Szybko zerwałem się i wyszedłem do sterniczej kajuty. Próbowałem otworzyć drzwi. Gwałtowny podmuch wichru, idący znad morza, wyrwał mi je prawie z ręki, tak, że musiałem użyć wielkiej siły, żeby je z powrotem zamknąć. Mimo iż nie było 6-tej godziny, nad zatoką spływał gdzieś z pod chmur wielki mrok. Przeszedłem cały pomost, potem skręciłem na lewo, idąc dalej piaszczystym brzegiem wśród progów kolejowych. Wśród wielkich ciemności, nie pozwalających nic dostrzec, potknąłem się. Krzyk mój zagłuszył piekielny hałas. Wicher rozszalał się z całą swą mocą, wył, gwizdał, wrzeszczał na całą zatokę. Chwilami znowu ustawał, tak że zdawało się, że burza milknie. Ale znów ryk zrywał się na nowo ze zdwojoną zaciętością. Z wyciem wichru rozlegał się syk fal szeroko rozlewających się na wybrzeże i szum gwałtownego deszczu. Kilka razy wśród jaskrawego blasku błyskawicy, dostrzegłem jakiś kuter, którego dziób zawzięcie borykał się z wściekłemi falami.

Przemoknięty, wróciłem na kuter. Rozebrałem się i rzuciłem zmęczony na koję, wyłożoną kraciastemi poduszkami. Żółty blask zakopconej lampy słabo oświetlał wnętrze kabiny. Dolatujący od dziobu zapach lin, dziegciu i ryb, drażnił i łechtał podniebienie. Kiedy spojrzałem przez luk świetlny, zobaczyłem w szybie odbicie własnej twarzy. Za szybą panowały ciemności i dopiero po chwili rozróżniłem słabe, świetlne punkciki okien rybackich. Naciągnąłem koc na głowę i usnąłem.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przebudziło mnie. — Kto tam do licha! — zawołałem.

Przede mną stał młody syn rybaka.

— Ojciec płynie na morze dla ściągnięcia sieci po burzy.

Przez myśl przeleciało mi, że pozrywane przez gwałtowną burzę sieci, będą wielką stratą dla rybaka. Za chwilę wyszedłem po stopniach na pokład. Zdumiałem się. Ryk wichru ucichł, a ogarniając spojrzeniem zatokę, dostrzegłem przedzierające się przez chmury smugi światła. Świtało.



Powyżej: Co rok spotykamy się, przybywając ze wszystkich krańców Polski....

Fot. J. Fischer — Kraków.



Na prawo: Pod rozpiętemi żaglami mijają godziny, liczone dzwonem pokładowym.

Fot. E. Przybylski — Kraków.



Poniżej: Na gdyńskiej redzie widać coraz więcej żagli...

Fot. S. Szymborski — Lwów.

Po chwili byliśmy już w łodzi. Rybak przy żaglach, syn przy sterze, ja zaś miałem w opiece deskę miecza, który przy bocznym wietrze miał być spuszczony w morze.

— Gotów?

— Gotów! — odparliśmy.

— Uwaga! Puszczaj. — W tej chwili lina, przytrzymująca dużą łódź rybacką, została wyrzucona na brzeg, a my z hukiem zostaliśmy przyjęci w objęcia fal. Rybak wiosłował z całej mocy swych barczystych ramion.

Dużo czasu straciliśmy na odszukanie chorągiewek, znaczących początek sieci, które na szczęście znaleźliśmy całe. W małych oczkach sieci trzepotały się srebrne szproty. Wyciągnęliśmy sieci i zaczęliśmy płynąć wolniej i równiej w stronę brzegu.

Nagle oślepiająca błyskawica rozzłociła morze. Potem przerażający huk! — Nim jednak rozpłynęło się echo piorunu, od strony morza nadleciał straszny ryk, ogłuszający, jakby całe piekło waliło na nas, prosto na naszą łódź. Rozszalała się opętańczą burza. Strugi deszczu puściły się z chmur, jakby chciały powiązać niebo z morzem. Niewidzialna moc biła piorunami w grzywiaste zwały bałwanów. Chcąc się porozumieć, krzyczeliśmy na całe gardło. Morze rozpętało się. Raz po raz wznosiliśmy się wysoko, aby wpaść w zieloną otchłań, gdzie spieniona woda zalewała nas.

Trzymając się masztu jedną ręką, drugą wylewałem wodę, ale co to wszystko znaczyło wobec fal, które spienionemi grzbietami przerastały burtę łodzi. Chciałem przesunąć się bliżej środka, puściłem się masztu i poczułem, że łódź wznosi się na grzbiecie fali. Straciłem równowagę, a łódź, opadając, grzmotnęła mną o burtę. Straciłem przytomność.

Otwarłem oczy i zobaczyłem schyloną postać rybaka, który wylękłemi a zarazem litościwemi oczyma spoglądał na mnie. Jakiś nieopisany lęk ogarnął mnie. Ścisnąłem kurczowo palce i rozłożyłem się na dnie łodzi, pełnej wody. Leżałem prawie że ogłuszony, aż do chwili, kiedy usłyszałem zgrzyt dna łodzi o piasek

Czyżby brzeg? Podniosłem się z dna i nie czekając, aż fala przejdzie, wyskoczyłem. Zawiał zimny wiatr, niosąc ostatnie krople dżdżu. Na brzegu dopiero poczułem wielkie zimno. Pijany burzą i morzem, szedłem w stronę wioski.

Tej nocy nie spałem na kutrze, ale w rybackim domku. Idąc sosnowym helskim lasem, poprzez szum gałęzi, słyszałem, jak płynęła od brzegu pieśń — to morze szeptało odwieczną, kojącą i niekończącą się baśń Bałtyku.

Zdzisław Bukowski.

Rybacy z Nazaré!

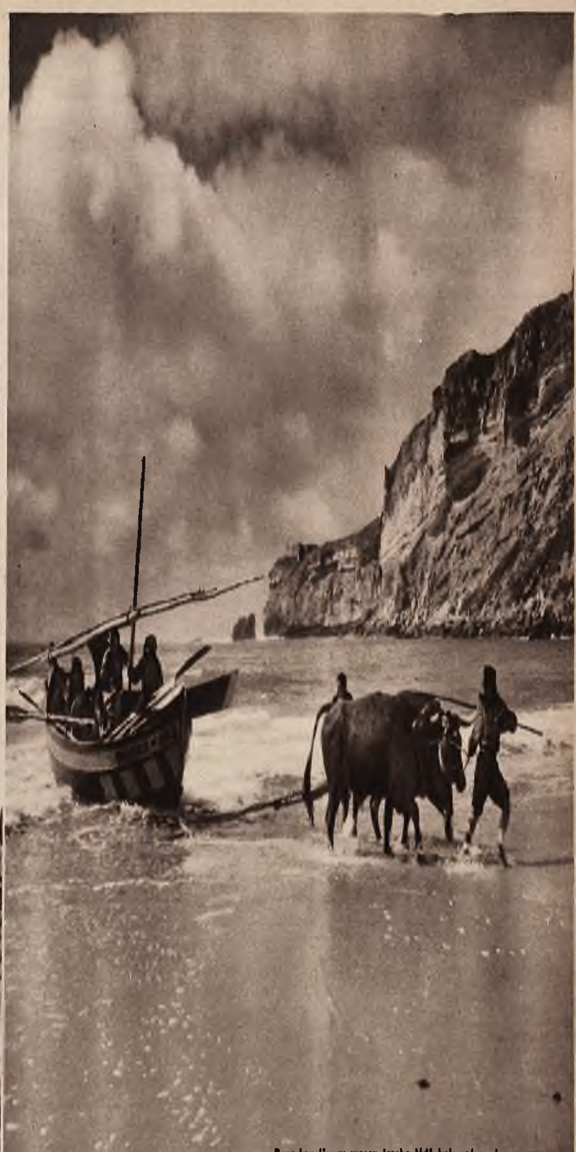


Na płaszczyźnie mokrego piasku odbijają się sylwetki rybaków, ładujących sieć do łodzi.



Czasami zdobycz wędruje w koszach na brzeg.

Wszystkie zdjęcia: A. Dienes — Paryż.



Przy burzliwem morzu trzeba łódź holować na brzeg, przy pomocy wołów.



Wyciąganie sieci na brzeg.



Dziewczęta opłókują w kadziach ryby przywiezione z połowu.



Przygotowywanie sieci przed wyruszeniem na połów.



Najmłodsi mieszkańcy Nazaré.



Typy rybaków z Nazaré.

Nazaré pod Lizboną jest wiosną, zamieszkiwaną przez kilka tysięcy mieszkańców, którzy wszyscy są rybakami. Podobnego widoku, jak na plaży w Nazaré nigdzie nie możnaby zobaczyć. Setki dzieci bawi się, podczas gdy ich rodzice pracują, walcząc o kawałek chleba na piasku, na brzegu morza i na łodziach. Ci rybacy, ubrani w specjalne spodnie i koszule o barwach szkockich, zaczynają pracować od 9-go roku życia i trudnią się wyłącznie połowem sardynek.

Ciekawą rzeczą jest obserwować ich, gdy zarzucają sieci do morza. Chociaż są oni znakomitymi rybakami, doświadczają nieraz wielkich trudności przy wypływaniu łódkami na morze. Wielokrotnie nieraz muszą zawracać do brzegu i wypływać znowu, zanim nie natrafią na odpowiednią chwilę, by uniknąć wysokich fal.

Zarzuciwszy sieci powracają po nowe i w ten sposób pracują przez wiele godzin.

Najwięcej wrażenia przynoszącym momentem jest chwila, gdy sieci mają zostać wyciągnięte. Wtedy rytm pracy przyspiesza się, wszyscy są zdenerwowani, a cała ludność miasteczka, kobiety i dzieci, starcy i chorzy wylegają na brzeg, przyglądając się finałowi połowu. Bardzo często zdarza się, że wyciągnięta sieć zawiera mnóstwo rozmaitych krabów i dziwacznych ryb, ale niema w niej sardynek. Rybacy nie zrażają się jednak i zaczynają pracę na nowo. Bezużyteczne stwory morskie oddają z powrotem fali, a ryby biedakom, którzy w ten sposób otrzymują możność posiłku. Wypływają znowu i w odległości kilkudziesięciu metrów od niefortunnego miejsca zarzucają sieci na nowo.

W Nazaré wszyscy się spieszą, biegają, często sprzeczają się. Młode dziewczęta sprawiają wyłowione ryby, tam znowu stare kobiety sprzedają sardynki pełnemi koszami pod nadzorem odpowiednich czynników miejskich, które dozorują targu, ażeby uniknąć omyłek i kłótni. Skończywszy targ kobiety znikają szybko, unosząc na głowach brudne kosze. Tam dalej znowu starcy pilnują suszenia ryb.

Jak długo trwa dzień, tak długo trwa praca rybacka. Ale gdy zejdzie wieczór, wszyscy wracają do wioski i na plaży zapada głęboka cisza, którą przerwie jutrzejszy świt.

Teraz spotkać można rybaków w małych kawiarenkach, gdy spijają tanie, lecz ciężkie wino. Picie tego wina jest nieodłączną częścią ich życia. Większość zarobionych pieniędzy rozpływa się w tem winie tak, że rybacy umierają jednako biedni, jakimi się urodzili.

A jednak są oni bardzo szczęśliwi, a blask tego szczęścia promieniuje z ich dzieci, z nieba, z błękitnego morza i z białych żagli ich łodzi.

André Dienes.

Z DZIEDZINY CHEMJI I TECHNIKI:

CUD DRZEWA

Nie istnieje chyba nic bardziej pospolitego od zwykłego drewna, z którem na każdym niemal kroku spotykamy się w życiu codziennem. Kawałek tego produktu przyrody nie zwróci niczyjej uwagi i odrzucony jako niepotrzebny, posłuży w najlepszym razie do rozpalenia ognia. A jednak warto zastanowić się nad tem, że drzewo od zarania dziejów było i jest poza pożywieniem najważniejszą dla isto-ty ludzkiej substancją. Kiedyś, przed tysiącami lat zapalony od słońca czy pioruna suchy pień drzewa, pozwolił pierwotnemu człowiekowi poznać wartość i potęgę ognia, dzięki któremu potrafił on zapanować nad światem i silniejszemi wówczas od siebie zwierzętami. Drzewo, dające się względnie łatwo obrabiać, było pierwszym budulcem, z którego człowiek wznosił chaty, chroniące go przed wrogiem i chłodem. Drzewo też stało się najodpowiedniejszym materjałem do wytwarzania najróżnorodniejszych narzędzi, broni, sprzętów i skomplikowanych nawet maszyn, zaopatrujących osady i miasa w wodę. Urządzenia te przetrwały często wieki, np. w Chinach, gdzie do dnia dzisiejszego drewniane wodociągi i koła wodne dostarczają wody, użyźniającej niezliczone pola ryżowe.



Poniżej: Atomill, czyli mąka drzewna, z której już podczas wielkiej wojny wypiekano chleb.



Pierwszą formą obróbki drzewa, to deski, które gromadzą się wokół tartaku. Fot. „As".

Z postępem kultury naczęto się trudnej sztuki wytapiania metali z rud i wówczas drzewo okazało się nieocenionym surowcem, służącym do otrzymywania węgla drzewnego, który nawet i w dzisiejszych czasach jest dzięki swej czystości niedozastąpienia przy niektórych procesach metalurgicznych. — Otrzymywanie węgla drzewnego znane było w Egipcie na wiele tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa i formą swą nie różniło się niczem od sposobu otrzymywania węgla drzewnego w nieekonomicznych coprawda mielerzach, jednak po dzisiejszy dzień w niektórych okolicach stosowanych. Przez wieki drzewo było też jedynym odpowiednim materjałem do budowy okrętów, dzięki którym otwarły się dla ludzkości drogi do nowych mórz i lądów.

Śledząc historję rozwoju przemysłu drzewnego, śledzimy jednocześnie dzieje ewolucji kultury i cywilizacji od jej najistotniejszych podstaw. Nie będzie zbyt śmiałem twierdzenie, że przez długie wieki drzewo posiadało dla pierwotnego człowieka conajmniej tę samą wartość co z trudem zdobywane pożywienie. Dopiero w ostatnich stuleciach metale i do perfekcji doprowadzona umiejętność ich obróbki ograniczyły w znacznej mierze stosowanie drzewa w wielu dziedzinach. Nie zmniejszyło to bynajmniej jego zapotrzebowania: niebawem znalazły się nowe możliwości. W ubiegłem stuleciu powstały w całym świecie liczne fabryki miazgi drzewnej i celulozy, służących do fabrykacji papieru. Według wynalazku Niemca, Kellera z r. 1846 miazgę otrzymywano przez rozdrabnianie drzewa na specjalnych kamieniach, a celulozę przez nowe wtedy i dopieroco wchodzące w życie chemiczne procesy gotowania w hermetycznie zamkniętych kotłach. Od tego czasu zapotrzebowanie na celulozę, a tem samem drzewo stale wzrasta. Coraz to nowsze możliwości otwierają się przed niemi. Produkcja sztucznego jedwabiu, celofanu, bawełny strzelniczej, lakierów t. zw. cellonowych, niezastąpionych dzięki swej trwałości i elastyczności w lotnictwie, celuloidu i innych najrozmaitszych fabrykatów pochłania wraz z przemysłem papierniczym olbrzymie ilości drzewa, stanowiąc dla bogatych w lasy krajów poważne źródło dochodu.

W dzisiejszym wszechstronnie rozwiniętym przemyśle chemicznym odgrywa drzewo jako surowiec niesłychanie ważną rolę. Nie brak jest coraz to nowszych pomysłów, mających na celu uzyskanie z celulozy (jest ona w 60 procentach składnikiem drzewa) najrozmaitszych wartościowych związków chemicznych. Ryzykując poprzednio twierdzenie, że dla pierwotnego człowieka drzewo było taksamo ważne, jak pożywienie, zdziwimy się faktem, iż ostatniem dążeniem chemji jest przetworzenie drzewa na materjały spożywcze. Nie chodzi tu o wypiekanie chleba z mąki drzewnej, jak to często miało miejsce podczas wielkiej wojny. W tej bowiem formie błonnik, czyli celuloza nie przedstawia żadnej wartości odżywczej, a nawet jest szkodliwa. Chodzi tu o otrzymanie z drzewa tak cennej dla organizmu substancji, jak cukier i o rozwiązanie dawnego problemu, który pojawił się z chwilą, gdy chemja stwierdziła z całą ścisłością, że celuloza i cukier należą do tej samej grupy związków nazwanych węglowodanami, a różnią się jedynie wielkością i konstrukcją drobiny.

Pomysł rozbicia wielkich drobin celulozy na mniejsze drobiny cukru zaabsorbował z miejsca umysły badaczy. Niebawem znaleziono drogę, wiodącą do celu. Wystarczało drzewo, czyli celulozę poddać działaniu kwasów, aby otrzymać cukier. — Prosty i łatwy ten pozornie sposób dawał jednak w praktyce bardzo nikłe wyniki. Już w roku 1812 francuski chemik Barcoment usiłował fabrykować cukier z drzewa. Sprawa była wtedy tembardziej aktualna, że spowodowany przez blokadę kontynentalną brak cukru dawał się coraz dotkliwiej we znaki. Barcoment zarzucił swe prace, zniechęcony małemi wydajnościami, których przyczyn nie mógł docieć.

Poniżej: Przez prasowanie trocin z żywicami powstaje doskonały materjał na parkiety, meble, itd.



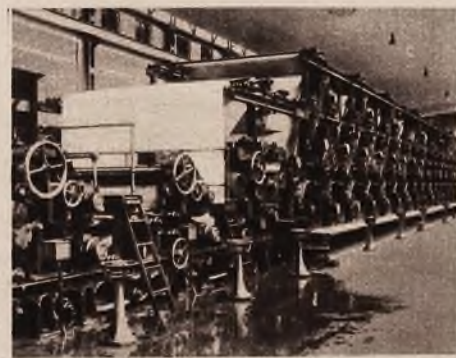
Dalszą przyczyną, która skłoniła Barcomenta do poniechania swych badań, było dokonane w owym czasie odkrycie niemieckiego chemika Marggrafa, które wykazało, że cukier, zawarty w soku buraka, jest identyczny z cukrem trzcinowym, sprowadzanym z odległych kolonij. Odkrycie to dało podstawy nowej gałęzi przemysłu, która doszła do ogromnego rozwoju. O cukrze z drzewa przestano na długo myśleć. Dopiero w ostatnich latach niemieccy chemicy zainteresowali się ponownie tym problemem. Ważność jego jest oczywista. Cukier z drzewa byłby bowiem dużo tańszy od zwykłego, otrzymywanego z buraków i zdołałby rozwiązać wiele socjalnych zagadnień.

Otrzymywaniu cukru z drzewa na wielką skalę stała na przeszkodzie zbyt mała wydajność całego procesu. Przyczyna nie prędko została zbadana, a z chwilą poznania jej też nie odrazu umiano złemu zaradzić. Podczas działania kwasów na rozdrobnione drzewo w postaci np. trociny powstawał coprawda cukier, ale pozostając pod wpływem znajdującego się w nadmiarze kwasu, rozkładał się, co było powodem małej wydajności tego procesu. Otrzymywano zaledwie 1 do 2% możliwych do otrzymania ilości cukru. Obniżało to ogromnie rentowność całego procesu. Obecnie po latach prób i badań problem ten został rozwiązany. Zastosowano tu prosty a dowcipny sposób szybkiego usuwania wytworzonego cukru z pod niszczącego działa-

ma kwasu. Przez sprasowane w odpowiednim aparacie trociny czy inne odpadki drzewne przeciska się zapomocą pomp porcję kwasu i pozostawia przez kilka minut. Zwilżone kwasem trociny zamieniają się na swej powierzchni w cukier, przyczem cały kwas zostaje zużyty. Po chwili przetłacza się ponownie porcję kwasu, która wypiera z miazgi drzewnej gotowy roztwór cukru z aparatu. Proceder ten powtarza się tak długo, aż cała celluloza nie zostanie rozpuszczona i zamieniona na cukier. Pozostałość, zwana ligniną, jest również wartościowym materjałem i ma zastosowanie przy produkcji alkoholu metylowego.

Otrzymany w powyższy sposób cukier, to chemicznie rzecz biorąc substancja identyczna z powszechnie konsumowanym cukrem buraczanym czy trzcinowym. Stanowi ona dla przemysłu chemicznego niesłychanie ważny produkt. Jest tanim i łatwo dostępnym surowcem, z którego można otrzymać cały szereg cennych związków chemicznych. Przez fermentację otrzymujemy z niego alkohol, odgrywający jako paliwo do motorów samochodowych coraz większą rolę, albo przy użyciu odpowiednich drożdży glicerynę, służącą między innemi do fabrykacji materjałów wybuchowych. Przy odpowiedniem kierowaniu fermentacją alkoholową można wyprodukować z łatwością same niemal drożdże, które zawierając znaczny procent białka stanowią pożywny pokarm dla zwierząt, a nawet po odpowiedniem przygotowaniu dla ludzi. Z całego szeregu możliwych tu do otrzymania związków niepodobna pominąć takich, jak kwas mleczny, cytrynowy, masłowy, octowy, aceton i wiele innych niemniej ważnych. Widać z tego, że w drzewie posiada współczesna chemja techniczna ważny surowiec o nieograniczonych niemal możliwościach, przyczem dodać należy, iż spalanie wszelkich odpadków drzewa, to wielkie marnotrawstwo. Jest rzeczą pewną, że rola drzewa jako surowca zyska w najbliższych latach jeszcze na ważności. Spalanie drzewa, będzie kiedyś takim samym nonsensem, jakimby było obecnie spalanie wełny, zboża itp., celem ogrzewania mieszkań czy innych objektów.

Poza temi bardzo szerokiemi możliwościami w przemyśle chemicznym, zdobyło sobie drzewo także inne dziedziny techniki. Wymaga ono jednak specjalnego przygotowania, bowiem mechaniczne własności drzewa pozostawiają wiele do życzenia. Znaleziono cały szereg sposobów, uszlachetniających drzewo w tak wysokim stopniu, że często trudno jest nic dziwić się do jakich to najróżnorodniejszych celów da się zastosować ten kruchy i kapryśny materjał. Sposoby te zmieniają



Maszyna do wyrobu papieru drzewnego.



Uzyskiwanie węgla drzewnego w t. zw. mielerzach.



Na lewo: Transport ściętego drzewa przy pomocy traktorów z lasów węgierskich.

zupełnie konsystencję drzewa i zwiększają tak jego wytrzymałość jak i twardość.

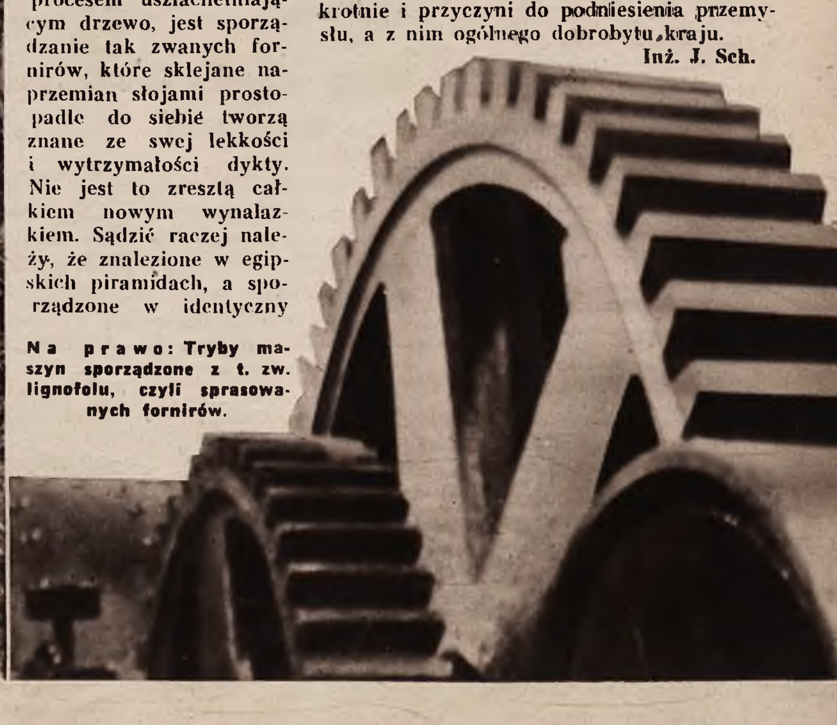
Pierwszym, znanym już od kilkudziesięciu lat procesem uszlachetniającym drzewo, jest sporządzanie tak zwanych fornirów, które sklejane naprzemian słojami prostopadle do siebie tworzą znane ze swej lekkości i wytrzymałości dykty. Nie jest to zresztą całkiem nowym wynalazkiem. Sądzić raczej należy, że znalezione w egipskich piramidach, a sporządzone w identyczny sposób meble i sprzęty, były tu pierwowzorem. Technika uszlachetniania drzewa posunęła się w ostatnich latach ogromnie naprzód. Zagraniczne fabryki zaczęły produkować nowe materjały pod nazwą „lignofolu", „lignostonu" itd., które składają się z kilku warstw cienkich fornirów sklejonych ze sobą i sprasowanych pod ogromnem ciśnieniem. Tak otrzymany materjał, prawie dwukrotnie cięższy od drzewa, zadziwia swą wytrzymałością i odpornością. Z lignofolu wytwarza się dziś najlepsze śmigła do samolotów, łożyska do karabinów i niesłychanie wytrzymałe a niezużywające się tryby, czyli koła zębate do najrozmaitszych maszyn. W kilku niemieckich fabrykach od trzech z górą lat pracują przy wielu maszynach sporządzone z lignofolu koła zębate, które pomimo braku jakiegokolwiek smaru nie wykazują śladu zużycia. Łożyska do ciężkich maszyn, służących do walcowania metali, sporządzone z lignostonu, okazały się lepsze i wytrzymalsze od dotychczasowych, metalowych.

Z pośród wielu sposobów uszlachetniania i uodporniania drzewa na wpływy zewnętrzne najlepszym i poniekąd najelegantszym jest powlekanie powierzchni drzewa cienką warstwą metalu przez silne sprasowanie cienkiej folji metalowej z drewnianą płytą. Metal, wiążąc się niezwykle silnie z włóknem drzewa, nadaje całości charakter trwałej a lekkiej płyty metalowej. Nowa ta kompozycja drzewa z metalem okazała swe zalety przy budowie samolotów wojskowych. Jest bowiem prawie nie do przebicia przez normalną kulę karabinową.

Ale nietylko samo drzewo stanowi materjał, nadający się do produkcji najrozmaitszych wartościowych fabrykatów. — Wszelkie bowiem jego odpadki, jak trociny, wióra itp., dotychczas przeznaczone najwyżej na opał, stały się dzięki niesłychanemu rozwojowi chemji wartościowymi surowcami. Tak np. z trocin, sprasowanych ze sztucznemi żywicami, fabrykuje się obecnie płyty, stanowiące pierwszorzędny materjał do sporządzania parkietów, mebli i innych sprzętów.

Jakie możliwości stoją jeszcze przed drzewem jako surowcem, trudno jest dziś przewidzieć. W każdym razie jako tworzywo, czy jako surowiec do przeróbki na artykuły spożywcze posiadać ono będzie coraz większą wartość, zwłaszcza w czasie wojny, która utrudnia import surowców i zwiększa zapotrzebowanie. Kraje, w których przemysł drzewny stoi na wysokim poziomie, oceniły już dziś znaczenie bezwartościowych pozornie odpadków, przerabiając je na najrozmaitsze, ważne surowce. Racjonalnie prowadzona gospodarka drzewna opłaci się stokrotnie i przyczyni do podniesienia przemysłu, a z nim ogólnego dobrobytu kraju.

Inż. J. Sch.



Na prawo: Tryby maszyn sporządzone z t. zw. lignofolu, czyli sprasowanych fornirów.

FRANCIS BEEDING

OSTATNIA GODZINA

N·O·W·E·L·A

TŁUMACZYŁ M. N. K.

Bert Higgins włożył spodnie i szukał oczami kołnierzyka i krawatki.

Cela skazanych na śmierć była zupełnie wygodna, lecz ponura. W piecu płonął ogień i już to samo stanowiło pewien luksus, do którego Bert Higgins nie był przyzwyczajony.

Pozostawiono mu jego własne ubranie: komplet z niebieskiego materjału z dwurzędową marynarką, w którym przebył cały proces. Odebrano mu je po wyroku śmierci, dając wzamian odzież więzienną. Lecz dziś mu je zwrócono. Znaczyło to naturalnie, że ułaskawienie zostało wkońcu przyznane. Powinno nadejść w ciągu nocy. — A zresztą ułaskawiony czy nie, nie może wyjść na ulicę bez kołnierzyka i krawatki.

— Gdzie jest mój kołnierzyk — spytał. — Gdzie jest mój kołnierzyk, Joe?

Joe był dborym człowiekiem, o wiele lepszym, niż drugi więzienny dozorca, Mike. Joe odwrócił się trochę zakłopotany i popatrzył przez okno z matowemi szybami, niezbyt dogodne jako punkt obserwacyjny.

— Wam go już nie potrzeba — powiedział.

— Nie potrzeba? — oburzył się Bert. Nagle zamilknął i uśmiechnął się. Joe najwidoczniej się myli. Joe myśli, że go powieszą. Tymczasem to jest absurd, to się nie zdarza. Wieszają tylko kryminalistów. A on nie jest przecież kryminalistą. On jest niewinny. Nie popełnił zbrodni, a nigdy nie wieszają człowieka, który nie zabił.

— Cobyście chcieli zjeść na śniadanie, Bert? — zapytał Joe.

Bert, silny w swej wyższej znajomości angielskiego prawa, uśmiechnął się do niego uspokajająco.

— Na śniadanie? — powiedział. — Przyznam się, że mam apetyt. Czy pan sądzi, że daliby mi befsztyk i frytki?

— Pójdę zobaczyć, co będą mogli zrobić, mój stary! — odpowiedział.

Podszedł do małego zakratowanego okienka w drzwiach i powiedział parę słów komuś, kto się znajdował po przeciwnej stronie.

— Będziecie mieć śniadanie za 10 minut — oznajmił, odwracając się od drzwi.

— Doskonale! — powiedział Bert. — Nie ma pan przy sobie zapałek, Joe?

Dozorca wręczył, milcząc, paczkę zapałek. Bert zapalił papierosa i schylił się, żeby zasznurować buty.

Czemu spóźniają się z ułaskawieniem? To okrutne, pozwolić tak czekać. Przypuśćmy, że byłby człowiekiem nerwowym! Znajdowałby się teraz w okropnym stanie, wyobrażając sobie najstraszniejsze rzeczy. Jest po ósmej... pozostała jeszcze godzina. Bert uśmiechnął się znowu. Nie zabił. Nie mogą go powiesić, skoro nie zabił. Ułaskawienie napewno przyjdzie.

Machinalnie wdział kamizelkę. Co zrobi bezpośrednio po wyjściu z więzienia? Nie ma poco wracać do siebie. Amy nie żyje. To była jedyna rzecz, która nim rzeczywiście wstrząsnęła w czasie całego procesu, najgorsza rzecz z wszystkich, jakie zaszły po aresztowaniu go, o wiele gorsza niż to, że ten stary niedołęga w peruce i czerwonej sukni włożył na głowę głupi kawałek czarnej szmaty i powiedział mu, że będzie stracony przez powieszenie.

Nie było można z tego wybrnąć. Kochał Amy. Zawsze ją kochał. I okrutnie mu jej brakowało. Nie z własnej winy była trochę lekkomyślną. Tak samo nie mogła się powstrzymywać od lekkomyślności, jak on od wypicia kilku kieliszków w barze „Goat and Compasses". Zresztą nie zrobiła nigdy nic złego., nic takiego, coby można nazwać złem. Naturalnie, będąc tak śliczną, miała często pokusę.

Jakże była śliczna, Amy! Jakże zachwycająca — niby róża z klasztornego ogrodu, cały bukiet róż. Pastor, który im dawał ślub, powiedział, że jeszcze nigdy nie widział piękniejszej pary. Snując tak wspomnienia, Bert zatrzymał się przed lustrem i starannie, szczotką zmoczoną w miednicy, zaczął wygładzać włosy.

Zdobył Amy uczciwie. Zabrał ją wszystkim, łącznie z Georgem, który będzie wkrótce tu, gdzie on Bert jest dzisiaj. Bo to właśnie George zadał cios i dla niego nie będzie łaski.

George zapraszał ich oboje z początku do kina, później na rybę i frytki. I to ciągnęło się aż do dnia, kiedy Bert, wróciwszy do domu po parogodzinnem szukaniu pracy, zastał George'a i Amy w salonie. Siedzieli na kanapie i wieczorem Bert miał z żoną pogawędkę. Ona zachowywała się impertynencko, dała mu w twarz, rzuciła mu na głowę patelnię, nabijając takiego pięknego guza, jakiego rzadko można zobaczyć. Ale nazajutrz, gdy go ujrzała, rozpłakała się i ucałowała go serdecznie. Potem wyszła i kupiła kawałek surowego mięsa, żeby przyłożyć na guz. Żartował, że zrobią lepiej, jeżeli go zjedzą. Śmieli się razem. Ach! Amy jest kąpana w gorącej wodzie... a raczej była nią...

Łkanie zdusiło mu krtań, lecz stłumił je i w tej chwili drzwi celi otworzyły się.

Był to Mike ze śniadaniem.

Bert usiadł i zaczął jeść. Lecz jego myśli nie były zajęte jedzeniem, chociaż befsztyk był naprawdę smaczny. Myślał o ostatniej kłótni z Amy. Nie chodziło wtedy o George'a, lecz o jakieś nic nie znaczące głupstwo, podobne do tych, o które sprzeczają się ludzie w music-hall'u, nie pamiętając wkońcu, co to było. A jednak nigdy, dopóki żyć będzie, nie zapomni tego sobotniego wieczoru. Dopóki żyć będzie — — — Ach! ma 24 lata i niema powodu, żeby nie dożył 70-tki — — — po ułaskawieniu.

Amy znów wybuchła: Bert podniósł rękę, lecz nie miał zamiaru jej uderzyć. Tym razem rzuciła w niego imbrykiem, lecz na szczęście trafiła w mur, robiąc djabelny hałas. Odwrócił się i wyszedł prosto przed siebie w mgłę.

To było pierwsze nieszczęście. Nikt nie widział, jak wychodził z domu. Poszedł w stronę „Goat and Compasses". Lecz, żeby dojść do baru, potrzebował czasu, mgła była tak gęsta. Tam pił, pił wcale nieźle. Jego kolega Harry dolał mu dżinu do piwa i namawiał go, żeby wrócił do siebie wymierzyć Amy należytą chłostę.

— Bert — powiedział — one wszystkie potrzebują silnej ręki.

Zawrócił więc ku swemu domowi z zamiarem dania Amy tego, czego potrzebo-

Dokończenie na str. 23-ej.

PTAKI MORSKICH SZLAKÓW
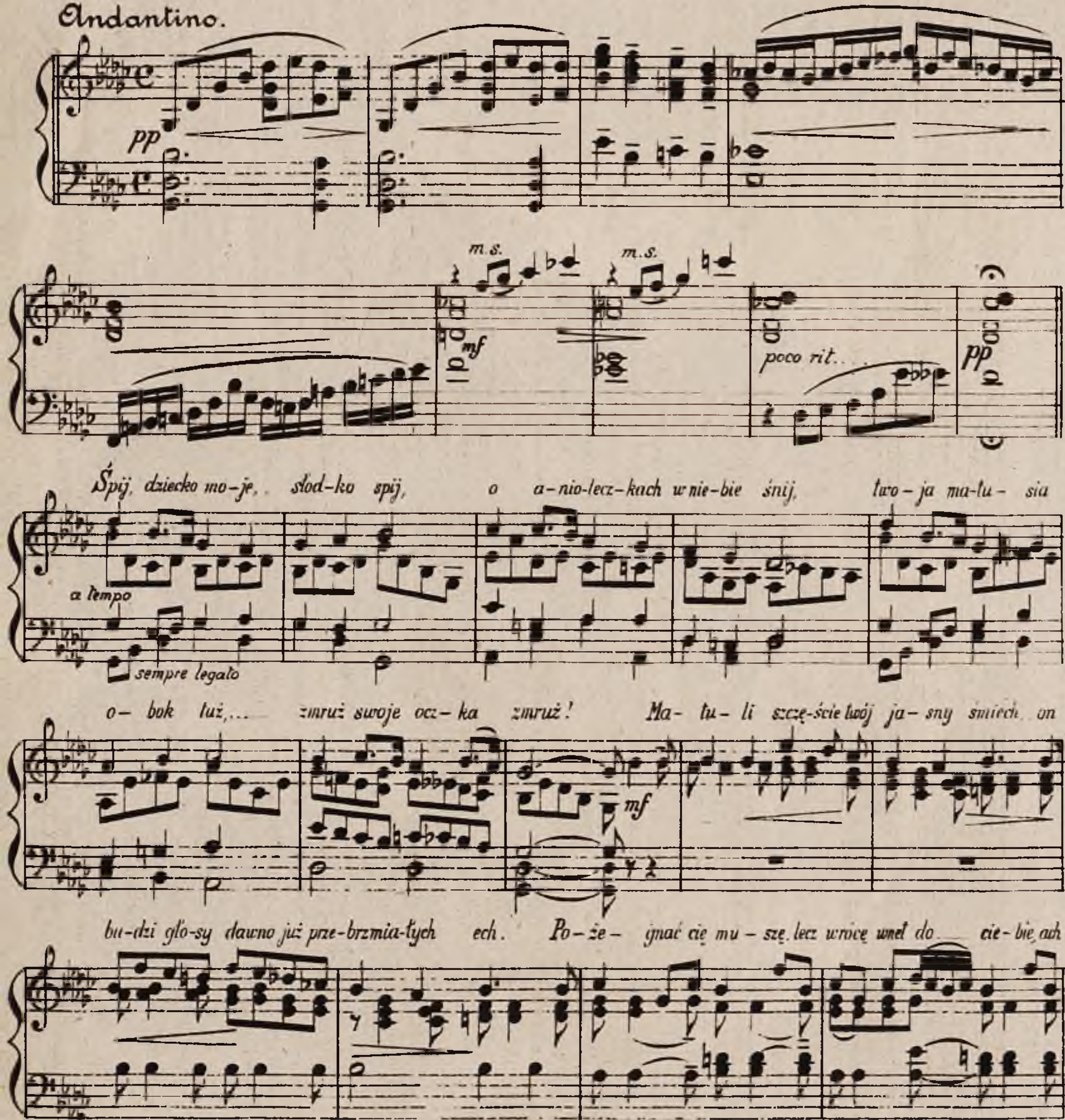


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

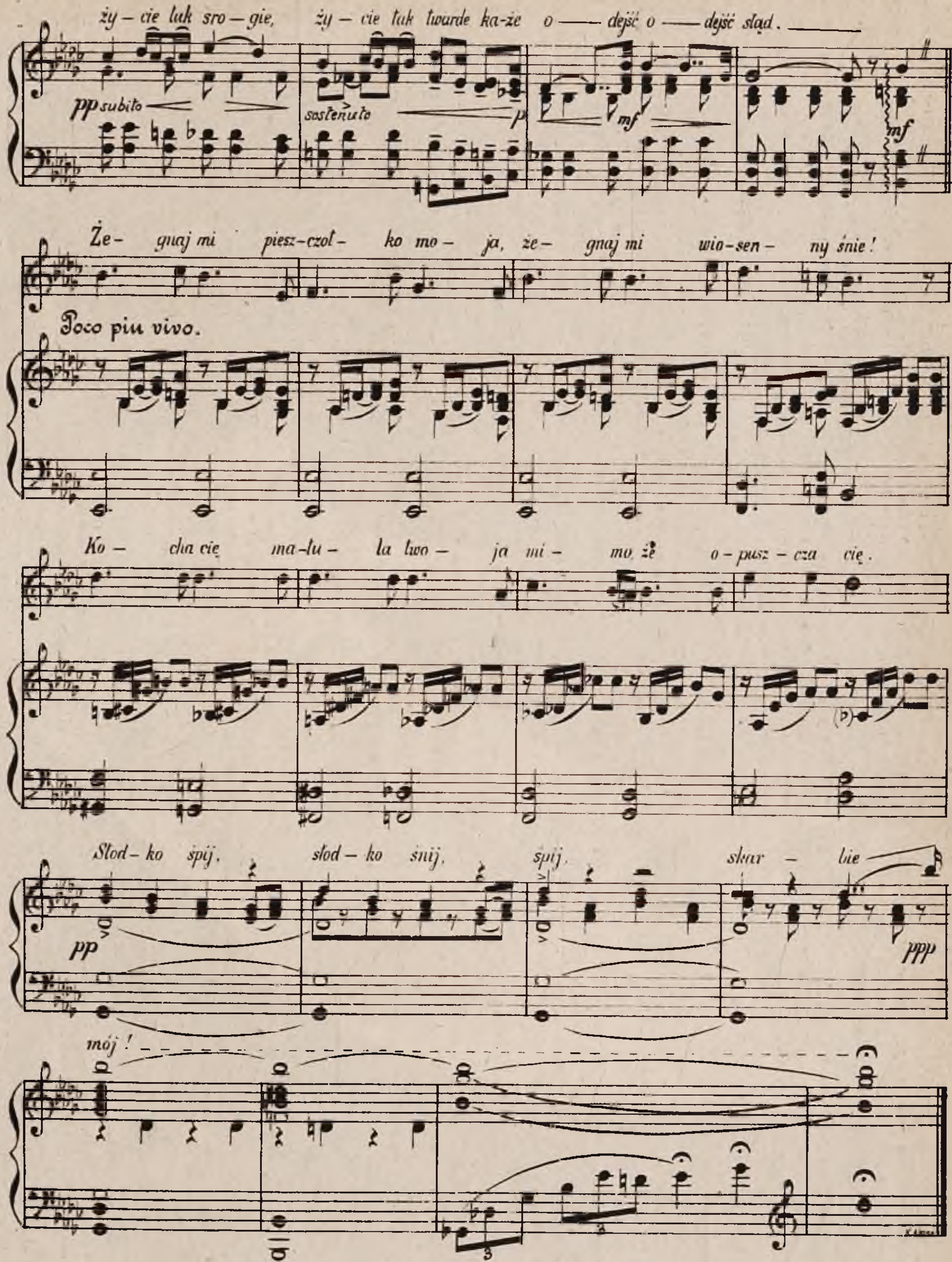
Kołysanka

PIEŚŃ Z REPERTUARU ADY SARI

Słowa:
A. KUBICZEK

Muzyka:
ADOLF PETERS





Dokończenie ze str. 20-ej.
wała. Lecz doszedł tam aż za pół godziny. Pół godziny, ażeby dojść z „Goat and Compasses" do Westbury Terrace, gdy trzeba na to 5 minut?

Naturalnie nikt mu nie uwierzył, a najmniej z wszystkich ten okropny człowiek z trzęsącym się nosem, który robił dochodzenie. A jednak cóż bardziej naturalnego. Poprostu błądził przez pół godziny we mgle, zanim się zdecydował wejść i wymierzyć Amy chłostę. A później, gdy nakoniec wszedł...

Bert odepchnął do połowy wypitą filiżankę herbaty. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie chce już jeść śniadania. Zobaczył Amy jęczącą tam w sypialni na górze z głową pokiereszowaną i na podłodze rozbitą butelkę piwa. Będzie to pamiętać aż do ostatniego swojego dnia, tak... aż do ostatniego swego dnia — — — —

Gdy zbierał rozbite szkło, weszła policja. Wezwał ją stary Green, który mieszkał obok. Stary słyszał kłótnię wieczorem i nie widział wcale, żeby oskarżony — oskarżony to był on Bert Higgins — opuszczał mieszkanie lub wracał. Stary Green pod przysięgą zeznał, iż słyszał już podobne kłótnie. Świadczył w sądzie przysięgłych, że Amy i Bert żyli w niezgodzie, co przecież było kłamstwem. On był zawsze w bardzo dobrych stosunkach z Amy. Niezgoda? Dlaczego? Nikt nie widział George'a wchodzącego do domu ani wychodzącego. Lecz stało się to z powodu mgły. Naturalnie George przyszedł, gdy on Bert był w „Goat and Compasses". To George uderzył Amy butelką z piwa. Czyż nie pracował w browarze? Lecz prokurator zrobił uwagę, że ktokolwiekbądź mógł używać gdziekolwiekbądź butelki z piwa z Bishop i że było ich wiele nawet w kuchni Berta. George musiał się pokłócić z Amy, tak jak Bert. Lecz, gdy Bert nie uderzył jej nawet ręką. George zabił ją flaszką. Tak się to wszystko stało, lecz Bert nie mógł tego wykazać, a George znalazł jakąś dawną swoją kochankę, która przysięgła, że w krytycznej godzinie był u niej. Nazwano to alibi.

Zapukano do drzwi i dozorca Joe przeszedł wzdłuż celi.

— To kapelan do ciebie, stary, — zawiadomił.

— Niech sobie idzie gdzieindziej! — powiedział Bert. — Będzie mi mówił o życiu przyszłem, a wystarczy mi aż nadto tego tutaj.

Bert przez kwadrans spacerował wzdłuż i wszerz po celi. Ułaskawienie przyjdzie w samą porę. Lecz te typy w rządzie są zawsze takie! Popatrzcie na urzędników w „Pośrednictwie Pracy". Ileż godzin trzeba, żeby otrzymać bezrobocie! Brak organizacji, to wszystko.

Lecz otóż zjawił się nakoniec dyrektor, szare indywiduum z białemi wąsami. Za nim trzech ludzi ubranych na czarno. Dwaj z nich trzymają ręce za plecami, jakby coś ukrywali. Za nimi idzie kapelan.

— Niech pan założy ręce w tył, z łaski swojej — mówił jeden z ludzi czarno ubranych. Dozorca Joe stał obok niego. Ktoś mocno chwycił jego ręce nad łokciami. Ściśnięty silnie, zauważył nagle, że związano mu je ztyłu. Inny człowiek w czerni zarzucił mu na głowę coś z wełny, jakiś wełniany worek.

— Ależ... — zaprotestował Bert Higgins. Zawiązano worek aż do szyi. Nie mógł nic widzieć a jego protesty były zduszone. — Mógł jednakże doskonale słyszeć. Przyszła kolej na kapelana:

— Jestem Zmartwychwstanie i Życie, powiedział Pan. Ten, kto wierzy we mnie, choć umrze, będzie żyć.

— Ależ... — zaprotestował Bert ponownie. Nikt mu nie odpowiedział. Poczuł, że go ktoś mocną ręką popchnął naprzód. Jego nogi uderzały o kamień, potem o drzewo. Drzewo uginało się nieco pod nogami i nareszcie zatrzymano go.

W tym momencie zarzucono mu przez głowę coś, co tarło go w szyję i wsparło się na ramionach, później pod brodą na lewo poczuł jakąś twardą, zawadzającą mu pętlę.

— — — Ależ — — — zaprotestował Bert Higgins po raz trzeci.

Ręce, które go dotykały, cofnęły się.

Nagle był sam.

Gdzieś dźwięczały kroki. Zaskrzypiały drzwi. Jakiś głos nagle w ciemnościach krzyknął:

— Panie dyrektorze! Właśnie idzie minister spraw wewnętrznych!

Słychać było szelest papieru. Dyrektor coś powiedział.

Bert Higgins odetchnął z ulgą. Nie było piątej... Właśnie na to czekał.

Tak, to było to. Odwiązano mu ręce, zdjęto z głowy wełniany worek. Stal przed nim dyrektor.

— Pięknie się nam pan wymknął. — powiedział. — Lecz ułaskawienie nareszcie przyszło. George'a Butterworth'a zatrzymano dziś wcześnie rano.

— Niech Bóg ma litość nad jego duszą! — powiedział Bert Higgins, opuszczając celę za dyrektorem.

Czyż to być może,, że są już poza drzwiami więzienia?

— Tak, mój stary — mówi Joe.

I Bert Higgins spostrzega, że dozorca podaje mu kołnierzyk i krawatkę.

Lecz trzeba najpierw uścisnąć rękę dyrektora.

— Dowidzenia Higgins — powiedział dyrektor.

— Dowidzenia panie dyrektorze!

— — — — — — — — — — —

Jak zawsze padał deszcz, a ulice były szare i ponure. Spostrzegł tramwaj, który, dzwoniąc, zniknął zaraz we mgle. Bert Higgins pobiegł, żeby go dogonić. Nogi jego były ciężkie i ledwie dopisywały posłuszeństwa, lecz z nadludzkim wysiłkiem skoczył na stopień. Usiadł wewnątrz tramwaju. — Czas mijał. Jechał daleko, daleko, i nagle spostrzegł, że tramwaj jest pusty. Konduktor ubrany w ciężki deszczowiec wyłonił się z mgły.

— Koniec, mój stary — powiedział. — Dalej nie jedziemy.

Bert Higgins wysiadł z tramwaju. Ulice były bardzo ponure i mgła stawała się coraz gęstsza. Lecz Bert mógł widzieć całkiem wyraźnie, gdzie się znajdował. To było Westbury Terrace. Dlaczego przybył na Westbury Terrace? Siła przyzwyczajenia — pomyślał. Czy też dom jest pusty, czy może jacyś nowi mieszkają w nim lokatorzy? Nie chciał iść tą znajomą ulicą, lecz nogi niosły go tam same. Znalazł się przed drzwiami brudno-zielonemi. Przez tyle lat nie zużyto na nie ani kropli farby.

Lecz schody były czyste i schludne. Kto mógł je myć, teraz, gdy Amy nie żyje. — Pchnął drzwi i wszedł do przedsionka. — Światło błyszczało w kuchni i ktoś stał przy stole. Była to kobieta, odwrócona do niego plecami. Stała przed stołem z wałkiem w ręce i wałkowała ciasto bez przerwy. Na piecu wrzał kociołek. Kobieta odwróciła się i patrzyła na niego. Była ubrana biało... jej ślubna suknia... a na przedramieniu mąka...

— Dzień dobry Bert — powiedziała Amy. — Zaczęłam wierzyć, że już nigdy nie przyjdziesz.

I teraz dopiero Bert zdał sobie sprawę, że umarł.

* * *

— Tak, panie komisarzu — powiedział doktór więzienny. — Śmierć była, że tak powiem, nagła. Puls przestał już bić, gdy podszedłem do ciała. Człowiek umarł, zanim sobie zdał z tego sprawę.

Dokończenie ze str. 5-ej.
morskich na godzinę, a więc około 75 kilometrów na godzinę. Zechciejcie jednak, Czytelnicy, zapamiętać, że mowa jest tu o szybkości największej, t. zw. „maksymalnej", której nie stosuje się na codzień.

Typem, który zdaniem fachowców powinien Polskę specjalnie zainteresować, jest wybudowany przez Niemców jeszcze przed przewrotem hitlerowskim słynny krążownik „A" — „Deutschland", za którym wkrótce nastąpiły inne z tej samej serji. Na krążownikach tych, chociaż wypierają „tylko" po 10 tysięcy tonn — bez zapasów paliwa i wody słodkiej — zastosowano stosunkowo silną artylerję i poważne jak na krążownik opancerzenie. Właściwie Niemcy stworzyli tu oddzielną klasę okrętów, które od krążowników o tej samej lub przybliżonej wyporności mają silniejszą artylerję i lepsze opancerzenie, od tych zaś okrętów, którym ustępują uzbrojeniem, są szybsze. W warunkach polskich krążownik tego typu mógłby kosztem swego zasięgu pływania uzyskać jeszcze silniejsze uzbrojenie, stając się przez to jednostką dla możliwego przeciwnika wybitnie groźną.

Okręty następnej zkolei, czwartej klasy, są nam stosunkowo dobrze znane. Nasza młoda marynarka wojenna rozporządza przecież kontrtorpedowcami. Są to okręty wypierające półtora do 3 tysięcy tonn, o dużej zwrotności i imponującej szybkości, uzyskanej kosztem opancerzenia, którego zupełnie są pozbawione. Pewnym lekkim pancerzem, jednak mającym raczej znaczenie moralne, nie zaś praktyczne, tylko obudowano z przodu działa, których kaliber graniczy z artylerją średnią. Prócz tych dział oraz działek przeciwlotniczych kontrtorpedowce rozporządzają jeszcze licznemi aparatami do rzucania torped. Przeznaczeniem tych jednostek było pierwotnie zwalczanie torpedowców — stąd ich nazwa — ale z czasem znacznie rozszerzono zakres ich działalności. Dzisiaj do zadań kontrtorpedowca należy przedewszystkiem torpedowanie okrętów nieprzyjacielskich, tudzież obrona własnych, głównie przed łodziami podwodnemi. Kontrtorpedowiec jest obok samolotu najgroźniejszym wrogiem łodzi podwodnych, które są okrętami bardziej od zegarka precyzyjnymi i niemniej czułymi na najdrobniejsze uszkodzenia.

Następna, piąta klasa — to torpedowce, które jednak naogół są już dzisiaj jednostkami przestarzałemi, nowych bowiem w większości państw nie buduje się wcale.

Natomiast dużą rolę we wszystkich flotach odgrywają łodzie podwodne. Wyporność tych okrętów jest rozmaita i waha się od stu kilkudziesięciu tonn aż do 3 tysięcy. Głównem ich uzbrojeniem są wyrzutnie torpedowe, pomocniczem zaś — działa mniejszego kalibru. Polskie łodzie podwodne mają pozatem jeszcze pomieszczenie do przechowywania min oraz urządzenia do ich stawiania.

W czasach ostatnich do właściwych okrętów wojennych zaliczono również lotniskowiec. Jednostki tej klasy, prócz pomostu do startowania i lądowania samolotów, prócz hangarów posiadają artylerję średnią i przeciwlotniczą, a także wyrzutnie torpedowe.

Usiłowałem dać Wam, Szanowni Czytelnicy, przegląd dawniejszych i dzisiejszych okrętów wojennych. Zdaję sobie doskonale sprawę, że w ramach zwięzłego artykułu upodobnił się on raczej do technicznego wykresu. Toteż aby uniknąć zarzutu powierzchowności, pozwalam sobie na zakończenie stwierdzić, że zamiarem moim było jedynie zasadnicze zapoznanie Was z przedmiotem, który słusznie budzi w Was wszystkich coraz więcej zainteresowania.

Mieczysław Zydler.

Uczmy się pływać!

Trudno przyszłoby wyliczyć tych wszystkich, którzy zabierali głos w sprawie nauki pływania, układali własne metody, stosowali przyrządy swojego wynalazku. Każda z takich metod, każdy z wynalezionych przyrządów posiadał swoich zwolenników, którzy i słowem i pismem zaświadczali, że właśnie ten, a nie inny jest najlepszy. A wszystkie te metody miały jedną wspólną cechę: obecność instruktora przy nauce. On własnoręcznie zawieszał „delikwenta" na jakiejś wymyślnej wędce, czy też innym przyrządzie, on stentorowym głosem wykrzykiwał komendę wykonywania odpowiednich ruchów. On był alfą i omegą wszystkiego, bez niego nikt nie mógł się nauczyć pływania. Ale ludziom znudziło się wreszcie to tyrańskie panowanie „panów profesorów od pływania". Postanowiono znaleźć takie metody, któreby miały charakter bardziej „demokratyczny" i dały się stosować przez każdego wszędzie tam, gdzie znajduje się woda. Tu zasługuje przedewszystkiem na uwagę metoda Mills'a. Zalety jej polegają przedewszystkiem na wyeliminowaniu instruktora, dalej na dostosowaniu poszczególnych lekcyj do kąpielisk naturalnych, a nie sztucznych. Niemniejszą zaletą jest to, że przyswajanie nowych elementów następuje systematycznie, a nie za szybko, że ćwiczenia są łatwe i uczeń wychodzi z wody niezmęczony, z przeświadczeniem, że się czegoś nauczył.

Przed rozpoczęciem właściwych lekcyj należy pamiętać o paru podstawowych uwagach. Oto one:

1. Nie wchodzi się do wody z pełnym żołądkiem (2-godzinna przerwa od ostatniego posiłku).
2. Należy zbadać dno w tem miejscu, gdzie będą odbywały się ćwiczenia, czy nie ma tam szkła, ostrych kamieni itd.
3. W razie uczucia zimna w czasie przebywania w wodzie, należy wyjść na brzeg i wykonać kilka ruchów „na rozgrzewkę".
4. Każdą lekcję należy zakończyć dwuminutową gimnastyką w celu rozluźnienia stawów, a zwłaszcza barkowych.
5. Do porannej gimnastyki dodać ruchy rąk i nóg, wykonywane przy pływaniu.
6. Myjąc się rano, zanurzać twarz w wodzie, mając oczy otwarte.

Lekcja I. Celem lekcji pierwszej będzie pokonanie bojaźni w stosunku do wody i zawarcie z nią jakgdyby poufalszej znajomości, bo powierzchownie to prawie każdy ją zna. Uczący się pływać wchodzi do wody po kolana z twarzą zwróconą do brzegu. Rękami czerpie wodę i oblewa sobie nią kark i plecy. Następnie siada na dnie tak, że woda dochodzi mu do piersi i opiera się rękami o dno. Stopniowo usuwa ręce do tyłu tak, aby całe ciało aż po podbródek było zanurzone. Po krótkiej przerwie, w czasie której należy wyjść na brzeg, wejść znowu do wody i usiąść na dnie, ręce przyłożywszy do podudzia. Uczący przekona się, że woda podnosi go do góry. Następnie stojąc w wodzie po kolana podskakiwać do góry, aby przekonać się o różnicy ciśnienia wody i powietrza. Ćwiczenia należy powtarzać kilkakrotnie, aż do wyzbycia się obawy przed wodą.

Lekcja II. Powtórzyć ćwiczenia z poprzedniej lekcji. Następnie wejść do wody po kolana, uklęknąć opierając się jedną ręką o dno, a drugą zakryć nos. (Rys. 1). Teraz należy zanurzać twarz w wodzie, mając oczy otwarte. (Rys. 2). Ćwiczenie to powtarzać kilka razy, przedłużając czas trzymania twarzy w wodzie każdorazowo, aż bez trudności liczyć będzie można do 15-tu. Następnie wykonać to samo, nie trzymając ręką

CRAWL

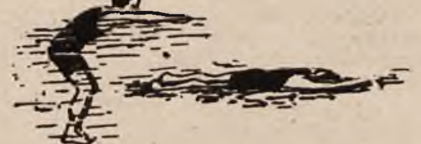
metodą MILLSA



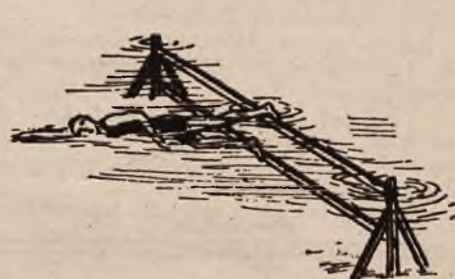
Rysunek 1.



Rysunek 2.



Rysunek 3.



Rysunek 4.

nosa. Potem nabrać dużo powietrza ustami i powoli zanurzyć całą głowę, licząc do 10-u, podnieść głowę ponad wodę i wypuścić powietrze nosem, a następnie szybko wciągnąć powietrze ustami i głowę zanurzyć do wody. Wykonać to ćwiczenie kilkakrotnie, wydychając powietrze pod wodą nosem. Po opanowaniu powyższego ćwiczenia, należy nabrać powietrza do płuc, zanurzyć się pod wodę, obejmując nogi rękami i próbując oderwać stopy od dna, co przekona nas o nośności wody. To ostatnie ćwiczenie może być wykonane w wodzie nie głębszej, jak

do pasa osoby uczącej się. Teraz jest się przygotowanym do prawidłowego oddechania w wodzie, które przy pływaniu jest inaczej stosowane, aniżeli w warunkach normalnych. Wdech odbywa się zawsze ustami, bo w ten sposób więcej powietrza można nabrać, wydech zaś nosem, powoli, bo w ten sposób woda nie dostaje się do przewodów nosowych, które są bardzo wrażliwe. Ćwiczenie to należy powtarzać kilkakrotnie.

Następne ćwiczenie przekona nas, że ciało ludzkie niewiele jest cięższe od wody i po odpowiedniem ułożeniu się na wodzie, nie wykonując żadnych ruchów, można utrzymać się dłuższy czas na wodzie. Stojąc więc w wodzie do pasa, należy oprzeć się silnie palcami nóg o dno, przyczem lekko ugiąć nogi w kolanach, następnie pochylić się do przodu (ręce wyprostowane, głowa pochylona) i kiedy ma się uczucie utraty równowagi, odepchnąć się nogami od dna, prostując nogi w kolanach. Na wodzie należy leżeć spokojnie, nie wykonując żadnych ruchów. Jest to tak zwane szybowanie po wodzie, czyli strzałka. (Rys. 3).

Lekcja III. Powtórzyć ćwiczenia lekcji I i II. Wejść do wody tak głęboko, aby można było oprzeć się rękami o dno, mając twarz tuż nad wodą. Ułożyć tułów równo na wodzie, nogi i stopy wyprostowane i poruszać powoli nogami od bioder w dół i do góry na przestrzeni około 15-tu centimetrów. Staw kolanowy musi być nieusztywniony, a duże palce zwrócone do środka. Rozpocząć powoli, przyśpieszając tempa, aż będzie można ćwiczyć swobodnie i rytmicznie. Następnie wykonać strzałkę, a po ułożeniu się na wodzie, zacząć powoli poruszać nogami, płynąc do brzegu. Ćwiczenie to należy wykonywać aż do uzyskania zupełnej swobody. Teraz należy powtórzyć ćwiczenie oddechowe, starając się głowę zwracać nie ku górze, ale w bok.

Lekcja IV. Powtórzyć ćwiczenia lekcji I, II, III. Teraz należy przystąpić do opanowania ruchów rąk. Ćwiczenia wstępne należy przeprowadzić na brzegu. Stanąć pochylonym i wyprostować prawe ramię na wysokości barku, wyprostowaną rękę przenieść aż do biodra, poczem ramię lekko ugięte w łokciu podnosić wprzód do góry, jak na to pozwoli staw barkowy, a następnie szybko wyprostować wprzód do pozycji pierwotnej. Po opanowaniu ręki prawej, ćwiczyć lewą, a potem naprzemian.

Po opanowaniu ruchów rąk na brzegu, wejść do wody po pas twarzą do brzegu, nachylić się silnie i idąc po dnie, wykonywać ruchy rękami, wyczuwając opór wody. Po kilkakrotnem powtórzeniu zrobić strzałkę i pomagać sobie rękami, zostawiając nogi w spokoju.

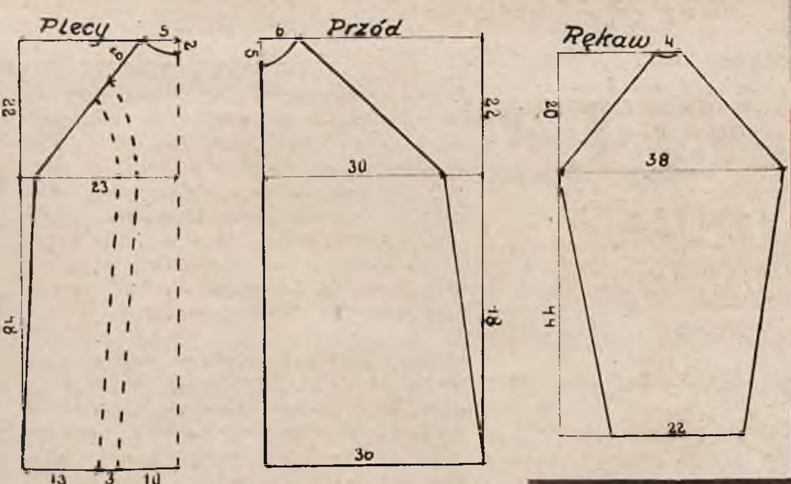
Lekcja V. Powtórzyć ćwiczenia lekcji I, II, III, IV. Wykonując strzałkę włączyć najprzód nogi, a po kilku uderzeniach ruchy rąk. Następnie wykonać kilka oddechów, zwracając twarz w bok i włączyć w to ruchy rąk. (Rys. 4). Wdech następuje przy przenoszeniu ręki ku przodowi, a wydech w czasie jej ruchu do biodra. Czy to będzie ręka lewa czy też prawa, zależy od strony, w którą zwracamy twarz przy wdechu. Lekcję należy zakończyć strzałką połączoną z ruchami nóg, rąk i oddechem.

Wyżej przytoczone lekcje nie są i nie mogą być objęte jakąś jednostką czasu. Może którąś z nich trzeba będzie powtarzać kilka, albo kilkanaście dni z rzędu, może jedne będą łatwiejsze, a drugie trudniejsze. Na to jednak niema rady, bo trzebaby wtedy dla każdej jednostki tworzyć osobną receptę.

Władysław Sikorski.

ŻAKIECIK

do kostjumu kąpielowego



Na lewo: Schemat kroju żakiecika.

Zdjęcia: C. Anders Paryż.

Moda ręcznych trykotaży znajduje ogromne zastosowanie w konfekcji plażowej. Podajemy obok jeden z najefektowniejszych na to przykładów — żakiecik do kostjumu kąpielowego, wykonany z białej cienkiej wełny. Na reprodukowanych obok ilustracjach widzimy ten żakiecik, narzucony lekko na ramiona przy mocno dekoltowanym na plecach kostjumie kąpielowym. Inna ilustracja wskazuje ścieg na drutach, jakim żakiecik został wykonany, a wreszcie osobna reprodukcja pozwala na odrysowanie kroju tego żakiecika o raglanowych rękawach.

Według przystosowanego do danej figury kroju wykonuje się każdą część z osobna, potem zszywa je razem, oraz przyozdabia taśmą, zrobioną ściegiem warkoczykowym, której trzeba przygotować odpowiednią ilość, aby obszyć przody żakiecika i przyozdobić nią plecy, jak wskazują na kroju pleców przerywane kresk. Kto włada drutami z większą wprawą, może ten ścieg zastosować odrazu w robocie, nie uciekając się do naszywania osobno robionej plisy.

Żakiecik wykonany jest ściegiem pikowym, który polega na następującej kolejności w robocie: 1 oczko gładkie, 1 odwrócone. Po każdych dwu rzędach następstwo się zmienia: 1 oczko odwrócone, 1 gładkie.

Taśma warkoczykowa składa się z 16-tu oczek. Pierwszy rząd 16 oczek gładkich, 2-gi rząd: 4 oczka gładkie, 8 odwróconych, 4 gładkie, 3-ci rząd: 4 oczka odwrócone, 8 gładkich, 4 odwrócone; dalej rzędy 4-ty, 6-ty i 8-my robimy jak rząd 2-gi, a rzędy 5-ty i 7-my, jak rząd 3-ci.

Tym sposobem powstaje taśma o środkowym pasie gładkim, który w 9-tym rzędzie zaczyna tworzyć warkocz. W tym celu po przerobieniu 4 oczek odwróconych nabiera się 4 następne oczka na dodatkowy (trzeci) drut i opuściwszy je przerabia się gładko dalsze 4 oczka, a dopiero po nich oczka gładkie na zapasowym drucie i ostatnie cztery oczka jako odwrócone. W tym miejscu robota się zagęszcza, ale po wykonaniu paru rzędów wyrównuje się i uwydatnią się piękne zwoje warkoczy.



Oto jak wygląda model opisanego w artykule żakiecika.



Na lewo: Ścieg trykotowy, którym wykonujemy model żakiecika.

Dalszy ciąg jest już identyczny, bo każde osiem rzędów jednakowo się powtarza. Zakończeniem każdego rzędu jest oczko nieprzerabiane, które spuszcza się na drut, a natomiast przerabia się oczko pierwsze każdego rzędu.

Zapięciem żakiecika jest duży guzik i pętelka przy wycięciu szyi.

Zet.

VII.

ŁUKI BRWI
DECYDUJĄ
O WYRAZIE TWARZY



Usuwanie zbędnych włosów w brwiach z pomocą pincetki.



Linje brwi wzmacnia się, podkreślając je ołówkiem.

Gdyby tak przyszło punktować pojedyncze partje twarzy, to jedno z pierwszych miejsc uzyskałaby napewno oprawa oczu, a z nią brwi. Łuki ich podkreślają charakter oczu i czoła. Rysunek brwi decyduje o wyrazie inteligencji, wewnętrznego światła duszy, ogniskującego się w oczach i wypisanego niejako na czole. — Przeżywane stany psychiczne podkreślają łuki brwi, to wznosząc się ku górze, to ściągając ku sobie. Gdy określamy czoło pochlebnym przymiotnikiem „myślące", wiemy, że to uwydatnia się przedewszystkiem w rysunku łuków brwi, które decydują w niemniejszej mierze o ogólnym wyrazie twarzy.

Czyż zdając sobie z tego sprawę nie należy troski o piękno łuków brwi postawić na jednem z pierwszych miejsc w kosmetyce?... Odpowiedź narzuca się sama, jakkolwiek przesada, to nieodłączna nawyczka przejawów mody, nagrzeszyła w ostatnich kilku latach wiele na tem polu. Na szczęście większość kobiet zrozumiała już, że przeszczepianie żywcem z ekranu i sceny pewnych typów urody jest eksperymentem bardzo niebezpiecznym choć pociągającym, bo którąż z kobiet nie nęci np. naśladowanie brwi Marleny Dietrich...

Ale szał golenia brwi szczęśliwie minął i nakazem mody jest tylko umiejętne podkreślenie naturalnego łuku, wykończenie go w jak najbardziej artystyczny sposób, przy dostosowaniu go do typu danej urody.

Buzia młodociana, nieco naiwna — to brwi zaokrąglone.

Typ mody fascynujący, przy wydłużonej oprawie oczu, wymaga brwi dłuższych, uniesionych bokami ku górze linją łagodną i nieco falistą.

Twarz z majestatem powagi w rysach, wysokie czoło, prosty nos — to lekko sklepione łuki brwi w linji prawie poziomej.

Gdy pani przybiera pozy i typ osoby z wyrazem licznych przeżyć na twarzy o sarkastycznym nieco uśmiechu, niechaj brwi stara się unieść nieco ku górze na środku czoła, opuszczając je lekko po bokach...

Zdarzają się też u nas kobiety o pewnego rodzaju egzotycznym typie urody. Oczy nieco skośne, wąska długa oprawa, twarz o wydłużonym owalu. Takiej postaci przyrodzone są brwi skośne i nie trzeba ich inaczej nakierowywać, lecz tylko zwężać ich łuki ku skroniom.

Typ kobiecego wampa jeszcze się zdarza. Oczy głębokie, wyraziste, usta sarkastycznie zacięte, brwi unoszące się końcami łuków ku górze...



Ważna kwestja: Jaką linję nadać brwiom?

Którykolwiek rysunek brwi jest nam właściwy, każdy wymaga tej samej pielęgnacji, którą zaczniemy od dokładnego studjum własnej twarzy w lustrze. Mała pincetka ułatwi usunięcie kilku niepotrzebnych włosków, tam, gdzie wyrosły w nadmiarze.

Każdego dnia rano i wieczorem natłuścić jakimś delikatnym kremem brwi i szczotkować je przez dobrą chwilę maleńką szczoteczką. Nabiorą przez to połysku i będą rosły równiej, jak i równiej się będą układały, bez pomocy specjalnych środków, stosowanych przy maquillage'u.

Wystarczy potem delikatne muśnięcie ołówkiem, dostosowanym do odcienia włosów, aby brwi rysowały się szlachetnemi łukami nad oczami, o które dbać trzeba, aby były pełne wyrazu. Do tualety wieczornej można dać kolor ciemniejszy o jeden ton, lecz w dzień przy słońcu oprawa musi być zrobiona bardzo dyskretnie, prawie, że niewidocznie. A nadewszystko trzeba trzymać nerwy na wodzy, aby tak często zdarzające się „ticki" w oczach nie przeszły w nałóg równie niebezpieczny, jak marszczenie czoła między brwiami. I jedno i drugie ogromnie postarza.

Dbając o brwi, pamiętajmy przedewszystkiem o oczach. Codzienne przemywanie lekkim rozczynem wody borowej jest jednym z najlepszych środków konserwacji piękna oczu. Unikanie wysiłku w pracy umysłowej, wypoczynek po dłuższem czytaniu, spoglądanie w dal, zamykanie oczu na dłuższą chwilę kilkakrotnie w ciągu dnia — to wszystko środki, prowadzące najkrótszą drogą do celu.

Elwira.



Od lewej: Oczy bez oprawy brwi nie mają żadnego wyrazu. — Inny charakter nadadzą im linje koliste, a zgoła inny wyraz te, które poprowadzimy od dołu do góry.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

Z KRAKOWSKIEGO FESTIVALU SZTUKI



Koncerty symfoniczne na Wawelu jako pierwszoplanowo słuchowiska w cyklu imprez, wchodzących w skład programu Festivalu Sztuki, zapoczątkował wieczór, poświęcony kompozycjom Moniuszki, Melcera i Marka. Wykonawcami byli: wielka orkiestra Polskiego Radja pod batutą Grzegorza Fitelberga, oraz Helena Zboińska-Ruszkowska, Władysław Ladis-Kiepura i chóry. Fot. „As".

ŚREDNIOWIECZNE WIDOWISKO W BARBAKANIE



Przedstawienia średniowiecznego widowiska, odbywające się w murach Barbakanu, stanowią ze względu na swój popularny charakter odrębną wartość w repertuarze „Dni Krakowa", zapewniającą niecodzienną rozrywkę szerokim masom publiczności. Na zdjęciu jedna ze scen widowiska, w wykonaniu Zofji Więcławówny i baletu. Fot. „As".

WYSTĘPY IRENY POPIELSKIEJ

Jedną z nielicznych artystek polskich, występujących na deskach scen zagranicznych, jest Irena Popielska, która jeszcze przed kilku laty grywała w teatrach warszawskich. Zaangażowano ją w 1935 r. do Brukseli, gdzie początkowo kreowała jedną z głównych ról w operetce „New York Baby", a potem przeszła do teatrów dramatycznych, uzyskując stałe engagement. Ostatnio grała Popielska w sztuce głośnego pisarza belgijskiego Crommelyncka p. t. „Marchand de regrets", a w ciągu lata wystąpi w Gandawie, Liege i Antwerpji. Na zdjęciu poniżej: Irena Popielska.



NA ŚLUBNYM KOBIERCU



W kościele OO. Kapucynów w Krakowie pobłogosławił ks. biskup Godlewski związek małżeński Edwarda Benedykta hr. Tyszkiewicza, syna Edwarda i Adeli z Dembowskich z Zofją Zdzieńską, córką Jana i Anny z bar. d'Eberhardt. — Podczas Mszy św. kwartet Chóru Cecyljańskiego odśpiewał szereg pieśni religijnych. Pan Młody wystąpił w mundurze oficera 8-go pułku ułanów. Na zdjęciu: Młoda Para, wychodząca z kościoła po ceremonji ślubnej. Fot. „As".

POPIS ŚPIEWACZY W STOLICY

Istniejące dopiero od roku studjum operowe przy stołecznej Operze, którem kieruje dyr. M. Lewicki, urządziło z końcem maja interesujący popis śpiewaczy swych uczenic i uczniów. Na program wieczoru złożyły się całe fragmenty znanych dzieł operowych, jak „Halka", „Cyganerja", „Cyrulik", „Aida", „Faust" i „Rigoletto". W partji Gildy z tej ostatniej opery wystąpiła bardzo utalentowana, młoda śpiewaczka, p Nadzieja Ancewicz. Pociągający głos i wielka muzykalność rokują artystce piękną przyszłość.



Garden Party w kretonach

Nareszcie mamy prawdziwie upalne i słoneczne lato. Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, by pełnemi dłońmi czerpać z bogactwa najszaleńszych pomysłów mody. Nigdy może nie miała kobieta do swego rozporządzenia takiego przepychu barw i kwiecia, takiej przebogatej rozpiętości w wyborze niezliczonych gatunków i wzorów letnich, powiewnych tkanin, jak obecnie. Od najdroższych zagranicznych szyfonów i jedwabi — do naszych tanich, krajowych perkalików.

Tym perkalikom właśnie została poświęcona garden-party, urządzona w ramach Tygodnia Czerwonego Krzyża, w ogrodzie ka-

Poniżej w kole: P. Borcy w jedynej na pokazie sukni tiulowej.



P. dyr. Pilchowska demonstruje efektowną suknię z kretonu podczas garden-party w Simie.





Powyżej w kole: P. Koźmińska w sukni z organdyny.

Wszystkie zdjęcia: „As".

wiarni SIM w Warszawie, pt. „Garden-party w kretonie". Inicjatorka tej miłej towarzyskiej imprezy, znana dekoratorka i artystka-malarka, pł. pułkownikowa Z. Arciszewska, która pierwsza przed kilku laty wprowadziła do dekoracji wnętrz oraz mody kobiecej nasz polski len, wystąpiła obecnie z rewją, mającą na celu zareklamowanie polskich kretonów i podniesienie ich do godności materjałów zastępujących w zupełności drogie zagraniczne tkaniny.

Cóż właściwie stoi temu na przeszkodzie? Chyba to jedno, a brzmi to wprost paradoksalnie... taniość tych materjałów! Bo przecież wzory najrozmaitsze i niezwykle gustowne: kratki, paski, groszki i kwiaty, mogą zadowolić najwybredniejsze wymagania eleganckiej pani, jak niemniej wysoki poziom w artystycznym doborze i zestawieniu barw. Prócz tego inne, a praktyczne względy, jak łatwość prania, a więc i wyższa higjena stroju letniego, oraz — co również jest bardzo ważne, miły bezpośredni kontakt z ciałem kretonowych tkanin, wynikający z dobrej apretury kretonów — wszystko to przemawia na korzyść perkalików.

Zalety kretonów oceniła już dawno zagranica. Cała Anglja i Austrja nosi latem li tylko kreton i to na cały dzień, od rana do nocy. A przecież nasze polskie kretony nie ustępują w niczem zagranicznym, o ile ich nawet nie przewyższają. Nadają się zarówno na skromne przedpołudniowe sukienki, jak i na suknie i kostjumy plażowe i week-endowe. Na strojne toalety na garden-party i dancingi istnieją do wyboru przeróżne odmiany cienkich przejrzystych perkalików i organdyn, zastępujących doskonale w ogólnym efekcie szyfony i gazy jedwabne.

Poniżej: Kretony na plażę (p. dyr. Rotterowa i p. Jasińska).



Rewja kretonowa wzbudziła wielkie zainteresowanie w stolicy, tembardziej, że w rolach manekinów wystąpiły panie z warszawskiego towarzystwa, z hrabiną Potocką, dyrektorową Pilchowską, dyrektorową Rottertową, dyr. Millerową i p. Jasińską na czele. Wśród przybyłych gości widziało się dużo osób ze sfer dyplomatycznych, oraz M. S. Z-tu i zarząd Czerwonego Krzyża z prezesem Jaworskim.

Gustownie, z dużym smakiem urządzony ogródek popularnej kawiarni warszawskiej, tworzący artystyczne ramy dla tej ciekawej imprezy, zaledwie zdołał pomieścić tłumy gości. Przeważały naturalnie panie, śledzące z wielkiem zainteresowaniem niezwykle pomysłowe i eleganckie modele sukien kretonowych, od skromnych plażowych i spacerowych, do wielkich tualet. Większość modeli była projektowana przez panie, które je demonstrowały.

Oklaski, jakiemi publiczność darzyła wytworne „manekiny" i ich kreacje, świadczyły najwymowniej, że moda kretonow znajdzie wiele zwolenniczek.

Z. Or.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

FRANCUSKA ZUPA RAKOWA. Małą cebulkę, marchewkę, kawałek selera, zieloną pietruszkę i dwie pieczarki kraje się drobno i dusi na łyżce masła. Kiedy jarzyny zmiękną, dodaje się łyżeczkę soli, troszkę kminku i pieprzu, dolewa szklaneczkę wina (madery) i 3 szklanki wody albo rosołu, zagotowuje i wrzuca 10 raków wyszorowanych szczoteczką i dobrze opłukanych. Raki gotują się z jarzynami 20 minut, poczem się je wyjmuje i rozbiera; mięso wyjęte z nich wkłada się do wazy, zaś potłuczone skorupki wraz z jarzynami przeciera się przez sito, przelewając rosołem. Zupę zagotowuje się ponownie, wlewa do wazy na włożone poprzednio rakowe szyjki i szczypce oraz parę łyżek uduszonego na sypko ryżu. Zupę zaostrza się ponadto kieliszkiem koniaku.

CHŁODNIK. Litr maślanki i 1/4 litra młodej śmietany lub dobrego zsiadłego mleka, ubija się przez chwilę spiralką od bicia piany, tj. tak długo, aż się podniesie i na wierzchołku utworzy pianę. Wtedy zamraża się na lodzie. Chłodnik ten podaje się w dni upalne do młodych ziemniaczków w miejsce zupy. Młodą maślankę zaleca się szczególnie osobom o leniwem trawieniu. Działa niezawodnie.

SZPINAK Z BOTWINKĄ pół na pół, gotuje się razem w słonej wodzie. (Liście buraczane należy przedtem obrać z szypułek). Ugotowane, przeciera się przez sito, wkłada na jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki, miesza dokładnie rozprowadza paru łyżkami słodkiej śmietanki, kontroluje czy dość słone i wydaje obłożone krokietkami bułczanemi. Szpinak taki zalecany jest specjalnie artretykom.

SAŁATKA Z TWARDYCH JAJ. Dwie małe bułeczki ociera się na tarle z zwierzchniej, twardej skórki, kraje w plasterki i zalewa szklanką mleka. Rozmoczoną bułkę przeciera się przez sito, dodaje łyżeczkę musztardy, surowe żółtko, 4 łyżki gęstej, kwaśnej śmietany, soli i octu lub soku cytrynowego dla zaostrzenia smaku, oraz dwie łyżki stołowe siekanego szczypiorku lub koperku. Jaja na twardo ugotowane i obrane z łupki kraje się w ćwiartki i układa je na sosie, który powinien być gęsty, jak bywają sałatki. Białemi środkami główkowej sałaty można potrawę przybrać po wierzchu lub pokrojone wmieszać w sałatkę.

SZNYCELKI CIELĘCE „A LA GOURMET". 40 dkg mięsa cielęcego z kawałkiem bułki puszcza się dwa razy przez młynek. 8 dkg tłuszczu od szynki kraje się w drobną kostkę i dodaje do mięsa; pozatem dodaje się całe jaje, łyżeczkę soli i szczyptę białego pieprzu. Wszystko miesza się przez dobrą chwilę aż masa zbieleje i stanie się pulchną, wtedy wykłada się ją na deskę, posypaną tartą bułeczką, tworzy z niej wałek, kraje wpoprzek na plastry grubości palca, macza je w pianie ubitej z 1—2 białek, osypuje bułeczką i smaży z obu stron na rozpalonem maśle. Sznycelki układa się w dwa rzędy na podłużnym półmisku i okłada z jednej strony półmiska szpinakiem, z drugiej marchewką, a pośrodku szparagami lub szybko usmażoną jajecznicą.

ZIMNE LEGUMINY NA DNI UPALNE: I. **LEGUMINA BISZKOPTOWA.** Uciera się 3 żółtka, 10 dkg cukru z wanilją, łyżeczkę mąki, rozprowadza szklankę mleka i następnie ubija na parze na gęsty krem, ostudza, ubijając i dodaje trzy płytki żelatyny, rozpuszczonej w łyżce gorącego wina lub wody. Szklaną miskę wykłada się biszkoptami lub krajanym w cienkie plastry domowym biszkoptem, kropi likierem i nakłada warstwę konfitur lub surowych owoców sezonowych, zalewa kremem i zastudza na lodzie. Tuż przed wydaniem przybiera się leguminę bitą śmietaną.

II. **LEGUMINA KARMELOWA.** Na patelnię wsypuje się 10 dkg cukru i rumieni następnie na ogniu na jasnobrązowy kolor, poczem wlewa się 2—3 łyżek wody, w której się cukier na ogniu rozpuści. Do płynnego cukru dlewa się 1/4 litra mleka wygotowanego z laseczką wanilji. Osobno uciera się 3 żółtka z łyżeczką mąki, zalewa po troszce mlekiem z karmelem i zagotowuje, mieszając na gęsty krem, który się następnie w formie zastudza. Podaje się z biszkoptami lub waflami.

III. **KREM CZEKOLADOWY.** W litrze mleka rozgotowuje się 15 dkg czekolady. W troszce zimnego mleka, odlanego z tegoż litra, przeznaczonego na krem, roztrzepuje się 4 dkg mąki ziemniaczanej i 2 żółtka, zalewa gotującą czekoladą, ubija potem na ogniu aż do zupełnego zgęstnienia, poczem się masę wylewa do formy, wypłukanej zimną wodą. Zastudzony krem, wyrzucony na półmisek, pokrywa się bitą śmietanką lub mleczkiem waniljowem.

IV. **KISIEL OWOCOWY.** Pół litra cukrzonego soku owocowego zagotowuje się i miesza z 4 dkg mąki ziemniaczanej, rozkłóconej z troszką soku. Mieszaninę, która szybko gęstnieje, ubija się przez chwilę na ogniu, następnie wykłada do formy, wypłukanej zimną wodą i wydaje zastudzoną ze słodką śmietanką.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Skorupki jajek posiadają nieraz wygląd bardzo nieapetyczny, będąc brudne, lub zabłocone. Przed użyciem, lub schowaniem do spiżarni należy wyczyścić jaja przy pomocy soku cytrynowego, a skorupka stanie się śnieżnobiała lub kremowa.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 26 — **Czerwiec** — 30 dni



NIEDZIELA **19** Gerwazego i Pr.	Chłodnik ogórkowy. Krokietki z móżdżku. Młoda gąska z mizerją. Legomina z karmelu. Kolacja: Zimny drób z sałatą.
PONIEDZ. **20** Regina	Rosół na ciepło lub zamrożany z krajaną kaszką. Sztuka mięsa z sosem agrestowym. Zraziki cielęce z szpinakiem. Truskawki. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem domowym.
WTOREK **21** Alojzego	Zupa jarzynowa lub chłodnik z jajem. Kalarepka z masłem i bułeczką. Paprykarz z kluseczkami francuskiemi. Kisiel owocowy. Kolacja: Młode ziemniaczki.
ŚRODA **22** Paulina b.	Krupnik na śmietanie na ciepło lub na zimno. Bukiet jarzynowy. Pieczeń cielęca z dyszka, szpikowana, z sałatą. Krem agrestowy lub poziomkowy. Kolacja: Sałatka z twardych jaj.
CZWARTEK **23** Wandy, Zen.	Barszcz na botwince. Ryż z groszkiem lub szparagami. Kurczęta pieczone z sałatą. Legomina biszkoptowa. Kolacja: Szpinak z sadzonem jajem.
PIĄTEK **24** Jana Chrz.	Zupa koprowa z makaronem na zimno. Omlety z grzybkami. Białe ryby smażone z ziemniaczkami. Poziomki. Kolacja: Zacierki na mleku.
SOBOTA **25** Jakuba Strepy	Zupa szczawiowa z ryżem. Jarzyny mieszane. Befsztyki z ziemniaczkami. Pianka poziomkowa z keksami. Kolacja: Kalafior z masłem.



HOCKI-KLOCKI

MAŁO SPOSTRZEGAWCZA.



Sędzia do skarżącej: — I kiedy pani zorjentowała się, że jej narzeczony nie zamierza się z panią ożenić? „Esquire".

Rozwiązania Nru z 24-go.

Krzyżykówka.

Poziomo: 1: sok, 2: or. 3: ład, 4: aksami, 5: el, 6: on, 7: dar, 8· obol, 9: ów, 10: tal. 11: ser. 12: żar, 13: zan, 14: le, 15: rana. 16: eve, 17: ad, 18: ro. 19: oceanu, 20: akt, 21: pj. 22: łak.

Pionowo: 1: sól. 2: osa, 3: ił, 26: kort, 27: mob, 28: Edward, 25: Don, 8: Ola, 29: aza, 30: re, 31: neon, 14: len, 32: noc, 33: ada. 34: raj. 35: dak, 36: ot. 37: pe. 38: ul.

Zapałki.

Nie jest to możliwem na jednej powierzchni! Wystarczy oczywiście tylko podnieść 2 zapałki w górę i dodać jedną, aby powstała bryła o powierzchni z 4 trójkątów.

Bilety kolejowe.

Władysław 2.75, Henryk 3.75, Karol 8.50, Stefan 15.— zł. Bilety kosztowały po 7.50.

KTO RANO WSTAJE...



Służący do powracającego pana: — Wcześnie pan wrócił do domu, Sir. Małżonka pańska będzie bardzo zdziwiona, nie mówiąc już o panu Donaldsonie! „Esquire".

OCZAMI DZIECKA.

Mały Fredzio jest pierwszy raz w życiu na wsi. Z wielkiem zainteresowaniem obserwuje na łące krowę niezmęczenie poruszającą szczękami.

— Tatusiu — woła malec — skąd właściwie ta krowa bierze gumę do żucia?

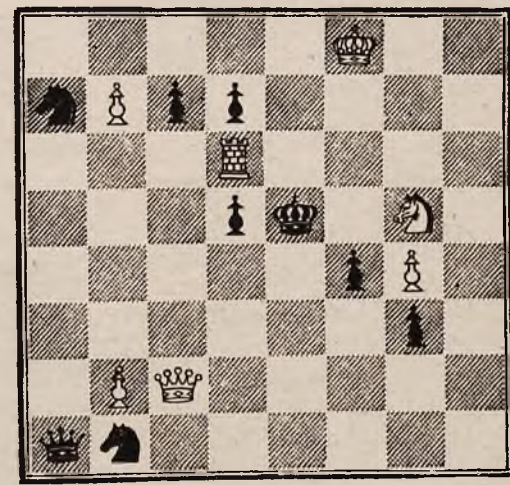
ROZRYWKI UMYSŁOWE

DESZCZ I PARASOLE.

Nasi znajomi Karol, Zygmunt, Władysław i Henryk wybrali się znów na wycieczkę, ale tylko dwaj pierwsi byli tak przezorni, że zabrali ze sobą parasole. Nagle zaczął padać ulewny deszcz — a od stacji autobusowej dzieliła ich jeszcze odległość 2 kilometrów, od postoju zaś były tylko dwa miejsca, gdzie można się było schronić (jedno o 500 m, a drugie o 1000 m). Jak musieliby iść przyjaciele, gdyby autobus odchodził za godzinę, a jak, gdyby miał odejść dopiero za dwie godziny?

ZADANIE SZACHOWE.

Othmar Nemo — Wiedeń.



Mat w trzech posunięciach.

Białe: król f8, hetman c2, wieża d6, skoczek g5, piony b7, b2, g4.

Czarne: król e5, hetman a1, skoczki a7, b1, piony c7, d7, d5, f4, g3, (7+9=16).

Dokończenie ze str. 8-ej.

Raje właściwie posiadają ciało o kształcie zbliżonym do rombu. Pysk mają ostro zakończony, ogon cienki. U niektórych raji część muskulatury ogona może przekształcić się w narządy elektryczne. U drętw (Torpedinidae) narząd elktryczny mieści się nie w ogonie, lecz w przedniej części ciała ułożony symetrycznie między grzbietem, a pletwami piersiowymi. Siła takiego narządu elektrycznego jest tak duża, że może powalić nawet dorosłego człowieka.

Spokrewnionymi z rajami właściwemi są t. zw. ogonice czyli ogończe, zwane również trygonami (Trygonidae). Posiadają one dłuższy ogon, pozbawiony na końcu pletwy, i na nim znajduje się jeden lub kilka kolców zakończonych ostremi ząbkami, stanowiącymi niebezpieczną broń tych ryb. Przebywają one zagrzebane niemal całkowicie w piasku lub w mule tak, że tylko ich oczy wystają ponad powierzchnię dna. Wskutek tego nawet w zupełnie przeźroczystej wodzie nie są one dostrzegalne. Gdy się nastąpi na taką przyczajoną płaszczkę, podrażniona ryba natychmiast uderza napastnika ogonem, raniąc go dotkliwie kolcem. Zranienia takie są trujące, a występujące objawy przypominają zatrucie spowodowane przez węże jadowite.

Podobnie jak trygony również i pokrewny orleń (Myliobatis) dochodzący nieraz do bardzo wielkich rozmiarów, może zadawać niebezpieczne rany swym kolcem, umieszczonym na ogonie.

Najwięcej danych o życiu wielkich raji podzwrotnikowych mogą podać tubylcy rybacy i sportowcy amatorzy, którzy wyruszają na dalekie wyprawy morskie, by pochlubić się zdobyczami o nieprawdopodobnej nieraz wielkości i wadze. Stosują oni w swych łowach nie wędki, lecz potężne wędy o dużych hakach i stalowych linkach, a i tak nieraz się zdarza, że zostaną one przecięte w potężnych szczękach rekina.

Polowanie na potwory morskie to prawdziwe zapasy, z których tylko doświadczony i wytrwały rybak może wyjść zwycięzcą. Zapasy trwają często całemi godzinami. Niekiedy zdarzają się potwory tak wielkie i silne, że zdolne są do holowania mniejszego statku rbackiego czy jachtu.

Niejedną przygodę z rajami opisuje wybitny angielski sportsmen Hedges, znany ze swych polowań na potwory morskie. W czasie swych połowów na Morzu Karaibskiem schwycił on raz na wędkę olbrzymią raję, która szarpnąwszy wędką omal nie przewróciła łódki. Walka z olbrzymim potworem trwała kilka godzin, w czasie których łódź została zaciągnięta daleko od brzegu na pełne morze. Tylko dzięki dużej wytrzymałości i zręczności zapalonego rybaka i jego towarzysza udało się wreszcie odholować raję do brzegu i po wpakowaniu jej sześciu kul z pistoletu w głowę wyciągnąć wśród dużych ostrożności na brzeg.

Raja gładka podobnie jak i raja centkowana posiadają rodzaj kolca czy sztyletu ukrytego w ogonie. Zbudowany jest on z k...ści o długości kilkunastu cm, zazębionych na krawędziach i zaopatrzonych ostremi haczykami. Raja rzucając się na upatrzoną ofiarę uderza ogonem, a wystający sztylet kostny przebija głęboko ciało ofiary.

Żywotność raji jest zdumiewająca. Zabicie tego potwora nie jest łatwe i nieraz liczne kule z rewolweru wymierzone w głowę raji nie wystarczają na jej zabicie.

Nieraz też polowanie na tego potwora połączone jest z niemałem niebezpieczeństwem. W jednym wypadku wyciągnięta na wierzch raja otrzymała kilka strzałów w głowę i po gwałtownych konwulsjach przestała się całkiem poruszać. Gdy jednak, uważając już ją za nieżywą, przywiązano ją do rufy łódki i rozpoczęto holowanie, nagle jak gdyby odżyła, okazując niespożyte siły: ogon jej obwinął się dokoła rufy, a pletwy zaczęły w przerażający sposób tłuc wodę. Dopiero zadanie potworowi z narażeniem życia śmiertelnego ciosu długim nożem myśliwskim uratowało załogę od niechybnej zguby.

Wraz też z rekinami uważane są raje powszechnie i słusznie za najbardziej niebezpieczne potwory morskie.

Dr. M.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Malickiej wystawił sztukę węgierskiego autora, M. Laszlo, pt. „W perfumerji". Reżyserował Z. Sawan. W rolach głównych wystąpili pp. Nowacki, Zawistowski, Modrzewski, Łaziński, Szabelakówna, Stojowska i Barbara Orwid.

Na scenie Teatru Polskiego zaprezentowano „Cyganerję paryską", będącą przeróbką utworu Murgera, dokonaną przez Hemara. Najwięcej humoru mieli Woszczerowicz i Kondrat. Ziembiński odtwarzał rolę Rudolfa. Modzelewska nie miała zbyt wiele do powiedzenia w swej roli. Dobrze spisała się Barszczewska.

NOWE KSIĄŻKI.

„Tajemniczy intruz". Kpt. Rintelen v. Kleist. (Rój) Są to pamiętnikarskie wspomnienia znanego agenta niemieckiego wywiadu, kpt. Rintelena, który miał misję w pierwszych latach wojny czynienia dywersyj na terenie amerykańskim, mających na celu zniechęcenie St. Zjed. A. P. do interwencji w wojnie europejskiej. Autor odsłania kulisy działalności wywiadu niemieckiego, amerykańskiego i Intelligence Service. Angielski wywiad wszedł w posiadanie tajnego szyfru niemieckiego, co niemało wpłynęło na zaognienie niemiecko-amerykańskich stosunków, albowiem Anglicy podchwytywali kompromitujące noty rządu niemieckiego, podburzające Meksyk do wystąpienia przeciw USA. Autor opowiada też o swoich przygodach na gruncie amerykańskim, gdzie organizował sabotaż na okrętach, wiozących amunicję do Europy. Kpt. Rintelen wpadł wkońcu w sidła angielskiego wywiadu, został wydany Ameryce. Mimo to z uznaniem pisze o swych przeciwnikach z Intelligence Service, podkreślając ich dżentelmeńskie zachowanie.

„W garderobie duchów". Kaz. Wierzyński. (Książnica-Atlas). Autor musujących beztroską radością wierszy „o wiośnie i winie", o „wróblach na dachu", stał zdala od wszelkich sporów teoretycznych, od zaciętych polemik o taki czy inny kierunek artystyczny. Kiedy później reagował patetycznie na wydarzenia współczesności, kiedy opiewał „laur olimpijski", albo spowiadał się ze swych przeżyć w „Pieśniach fanatycznych" — zawsze pozostawał wierny mowie wiązanej.

Najwidoczniej odpowiadała ona najbardziej jego psychice. Ten sposób wyrażania wzruszeń najdoskonalej zespalał się z jego potrzebami twórczemi.

Pierwszą niewiernością mowie wiązanej był zbiór nowel p. t. „Granice świata". Wierzyński — prozaikiem! Jeszcze bardziej nieoczekiwanem „odstępstwem" było objęcie przez poetę fotelu recenzenta teatralnego jednego z dzienników stołecznych. Teraz już z konieczności musiał Wierzyński zacząć badać, porównywać i oceniać dzieła innych pisarzy, uzasadniając swoje sądy...

Powiedzmy odrazu, iż poeta nie zmienił się bynajmniej w pilnego teoretyka, skrzętnie wertującego zapylone księgi; nie przywdział zbroi zapalonego szermierza jakichś ideałów estetycznych, walczącego o taki czy inny typ inscenizacji. Zagadnienia techniki scenicznej nie pasjonują go zbytnio.

Nie bez racji określa autor swój tom wrażeń teatralnych p. t.: „W garderobie duchów" jako „pamiętnik wzruszeń i szkicownik uwag". Istotnie, są to pisane na gorąco impresje, sporo w nich pomysłowych zestawień i skojarzeń, świadczących o lotności pióra poety.

Rzecz ciekawa, ten liryk, a więc z konieczności uczuciowiec, nie lubi utworów mgławicowych, opartych na subtelnych niedomówieniach i półtonach. Stąd awersja do Szaniawskiego i zastrzeżenia na marginesie dialektyki Giraudoux.

Zato gorącego rzecznika i entuzjastę znajduje w Wierzyńskim wielki repertuar dramatyczny, wielka poezja sceny: Szekspir, Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Fredro lub Musset.

Jak dalece unika Wierzyński niekiedy oceny czysto literackich wartości — o tem może świadczyć recenzja z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego. Słusznie pisze autor, iż dzieło to „rozwala" wszystkie „kanony" sztuki, „uchodzi wszelkim próbom stosowanych pomiarów". Trafnie uwypukla też zdumiewający związek między „Wyzwoleniem" a dziełem życia Piłsudskiego.

Do barwnych rozdziałów tomu „W garderobie duchów" należą jubileuszowe sylwetki znakomitych aktorów: Solskiego, Adwentowicza, Jaracza, Ćwiklińskiej. Wogóle o grze aktorów potrafi pisać Wierzyński z zapałem, kiedy go porwie jakaś kreacja, jak np. Eichlerówny w roli Szimeny w „Cydzie".

„Zwyczajność i przeczucia" Marjan Ruth-Buczkowski (Rój) Autor zdobył ostrogi uznania już swoją pierwszą powieścią, przedstawiającą rozbicie wewnętrzne współczesnego młodego pokolenia („Tragiczne pokolenie"). Obecnie ogłasza tom opowiadań, w których zaznacza się rzetelność wysiłku artystycznego. Parę z tych nowel, to rodzaj pamiętnika młodości (np. nowela tytułowa). Bardzo ciekawą pozycję stanowi opowieść p. t. „Tomasz nienazwany"; odbija ona tonem od realistycznych obrazków, ma ona w sobie coś z fantastyki Kafki, ale w oryginalnem wydaniu. Tomasz osiedla się po wojnie, jako człowiek bezimienny, w małem miasteczku i żyje życiem franciszkańskiem: „Przyjechał skądś ze świata, w rok po wojnie, zajął nieduży domek... czerwonym dachem ledwo wydobywający się z pomiędzy gałęzi owocowego sadu. Wysiadł z małej, najętej bryczuszki, wszedł na podwórko z pustemi rękami, obszedł dom wkoło i — pozostał".

J. J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 19 czerwca.

12.06 Poranek symfonicz. z Teatru Małopolskiego im. Moniuszki w Stanisławowie.
16.30 Premjera słuchowiska „Pełną parą na Hong-Kong".
17.00 Sergiusz Rachmaninow: Sonata na wiolonczelę i fortepian.
18.00 „Frasquita" — operetka Lehara.
21.00 Wesoła Syrena: Wariacje radjowe na temat: „Umarł Maciek, umarł".
21.40 Transmisja fragmentów międzypaństwow. meczu lekkoatletycznego Polska — Francja.

Poniedziałek, 20 czerwca.

16.00 Fragmenty z operetek i walce Jana Straussa.
18.10 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego.
19.00 Sonata d-moll Anton. Stolpe (na fortepian).
19.30 „Wesoły ogród zoologiczny", koncert rozrywkowy.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" (IV audycja).

Wtorek, 21 czerwca.

16.00 „Wesołe migawki" — koncert rozrywkowy.
16.45 „Po pienińskich zakolach", opowieść.
18.10 Utwory fortepianowe kompozytorów francuskich.
19.30 „Podróżujmy" — koncert rozrywkowy.
22.00 Recital śpiewaczy Ady Sari.

Środa, 22 czerwca.

11.20 Dawne tańce w nowoczesnej muzyce francuskiej — (płyty).
16.00 Zespół harmonistów K. Euglera.
18.55 Recital skrzypcowy Stanisława Jarzębskiego.
19.30 Z dziejów walca — koncert rozrywkowy.
22.05 Koncert symfoniczny.

Czwartek, 23 czerwca.

16.00 „Na bałtyckim szlaku" — audycja muzyczna.
16.45 C. O. P. — reportaż St. Kuszelewskiej-Rayskiej.
18.30 „Sobótkowe ognie" — premjera słuchowiska.
19.05 Recital śpiewaczy Hal. Leskiej.
21.10 Filon i Laura — wieczór dawnych piosenek.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek, 24 czerwca.

16.45 C. O. P. — reportaż St. Kuszelewskiej-Rayskiej.
18.00 Rzeczy ciekawe z techniki i przyrody.
18.16 Recital fortepianowy Zb. Grzybowskiego.
19.40 „Wieczór świętojański" — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 25 czerwca.

16.00 „Reportaż wśród gwiazd" — reportaż z płyt.
16.45 C. O. P. — reportaż St. Kuszelewskiej-Rayskiej.
18.10 Koncert chórów nagrodzonych w Radjowym Konkursie.
19.35 Trio Lisowskich.
21.10 „A w sobotę wesoło" — koncert.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.